NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. **Kraków, 16. czerwca 1917.** **Nr. 24.**

W drugą rocznicę oswobodzenia Przemyśla.



I. Jednoroczny ochotnik, rzeźbiarz, profesor Wilk, przy wykończaniu „rycerza w zbroi". II. Uroczystość odsłonięcia „rycerza w zbroi" w Przemyślu w dniu 3. czerwca bieżącego roku. III. Uczestnicy uroczystości odsłonięcia 1) J. E. jenerał kawaleryi v. Korda, 2) Książę Sapieha. (Fot. Willinger, Przemyśl.)

Treść numeru: Udaremniona ofenzywa włoska. — Opieka nad grobami wojennymi. — Francuska flota na straży. — Szkoła inwalidów w Przemyślu. — Z frontów bojowych. — Sport we Lwowie 1914–16 r. i t. d.

Od Wydawnictwa.

Wobec niesłychanej **drożyzny wszystkich materyałów** niezbędnych do wydawnictwa, jak papier, chemikalia i t. p., których **ceny wzrastają** niemal **z dniem każdym i podskoczyły do 500 proc.**, utrzymanie dawnej ceny pisma okazało się niemożliwe. Aby choć w części pokryć koszta wydawnictwa, co jest koniecznym warunkiem jego rozwoju, zmuszeni jesteśmy

z dniem 1 lipca b. r. podnieść prenumeratę

która odtąd wynosić będzie:

kwartalnie 6 K 25 h, półrocznie 12 K 50 h, rocznie 25 K, a cena pojedynczego numeru 50 h.

Zawiadamiając o tem naszych P. T. Prenumeratorów i Agencye, mamy niepłonną nadzieję, że najszersze koła naszych Czytelników zrozumieją konieczność tej podwyżki, **tak nieznacznej w stosunku do ogólnej drożyzny.**



Z frontów bojowych: Komendant korpusu, jen. Hofmann, zwiedza najdalej wysunięty rów strzelecki na wschodnim froncie.

W drugą rocznicę oswobodzenia Przemyśla.

(Do illustracyi tytułowej).

Dzień trzeciego czerwca, to data bardzo ważna w dziejach nowoczesnego Przemyśla. W dniu tym, przed dwoma laty, wkroczyły armie sprzymierzone w mury miasta, uwalniając je od najazdu wroga. Z jakim sercem i uczuciem witano swoich po długim okresie rosyjskiej niewoli, wie tylko ten, kto przebył sam na miejscu te straszne czasy. Dziś złe już minęło i da Bóg nie wróci!

Rocznicę oswobodzenia z pod rosyjskiego jarzma obchodził Przemyśl po raz drugi bardzo uroczyście. W bieżącym roku dzień ten przeznaczono między innemi i na odsłonięcie rycerza w zbroi, dzieła artysty rzeźbiarza, profesora Wilka, pełniącego obecnie w Przemyślu służbę wojskową.

Uroczystość odsłonięcia odbyła się przy sprzyjającej pogodzie w obecności generalicyi, pod przewodnictwem komendanta J. E. jenerała kawaleryi Kordy, garnizonu i reprezentantów władz oraz tłumów publiczności.

Wbijanie gwoździ pamiątkowych, które rozpoczął książę Sapieha, przyniosło już w pierwszym dniu bardzo pokaźny dochód, przeznaczony w całości na cele, stojące w ścisłym związku z opieką wojenną.

Opieka nad grobami wojennymi.

Jedną z najpiękniejszych instytucyi, jakie stworzył zarząd wojskowy w latach obecnej wojny światowej, są bezwątpienia Inspektoraty grobów wojennych. Inspektoraty mają za zadanie zaopiekować się szczątkami poległych bojowników, a rodziny, nieświadome losu swoich najdroższych, informować o miejscu wiecznego spoczynku poległych. Są to instytucye o charakterze rzeczywiście pięknym i idealnym, instytucye, które wzniosły się wysoko ponad pospolitość codziennych pojęć i przekonań, które równą opieką i miłością otaczają zarówno swoich, jak i obcych wojowników, a wczuwając się w ból



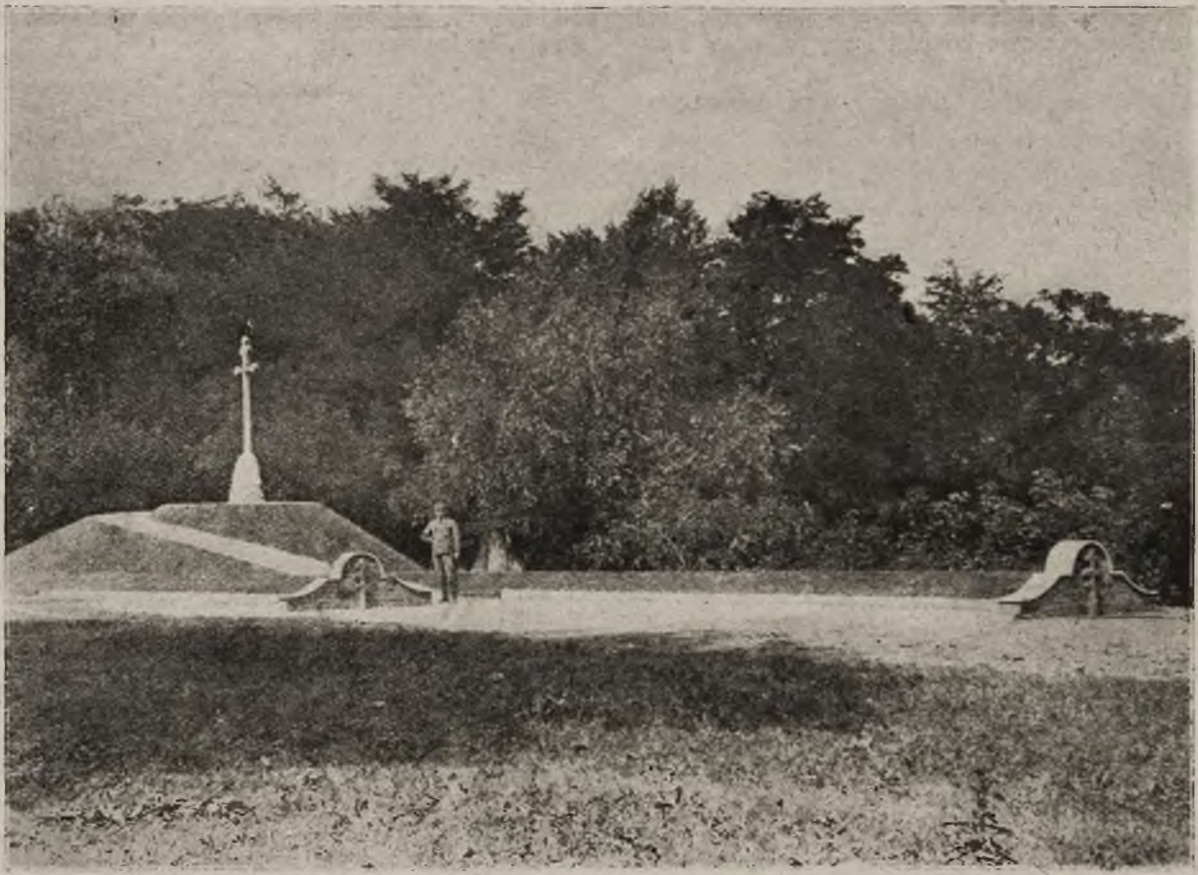
Z frontów bojowych: Stary fort na bałkańskim terenie walk, z wieżą, uszkodzoną pociskiem.

rodzin całych, usiłują pracą swoją umniejszyć go i ułagodzić.

Inspektoraty grobów wojennych utworzone zostały w obrębie całej Austryi, ze szczególnem wszakże uwzględnieniem terenów, po których przeszło zniszczenie wojny. Powstały więc takie Inspektoraty na ziemiach Polski, a na terenie galicyjskim — w Krakowie, w Przemyślu i we Lwowie. Szerokie pole działalności ma zwłaszcza inspektorat lwowski, opiekujący się grobami i cmentarzami na polach uporczywych i zaciętych bitew. Obejmuje on powiaty polityczne: Lwów, Sokal, Kamionkę Strumiłową, Żółkiew, częściowo Radziechów, Bóbrkę i Przemyślany. Kierownikiem instytucyi jest energiczny pułkownik Tomasz Ljubanovic.

Lwowski Inspektorat istnieje niewiele miesięcy, mimo to pokonać zdołał ogrom bardzo rozległych prac. Inspektorat przeprowadził na wielkim terenie szereg pomiarów technicznych, służących do ustalenia rozrzuconych grobów wojennych, rozpoczął szereg adaptacyi, rekonstrukcyi i prac około poszczególnych grobów i cmentarzysk całych, sprawił tysiące krzyży tymczasowych, poczynił szereg zdjęć fotograficznych, zaprojektował wiele cmentarzy wojskowych, estetycznych kaplic i pomników, wykonał szereg projektów i rzeźb pomnikowych, a przedewszystkiem uchronił tysiące grobów od zapomnienia i zniszczenia, tysiące rozrzuconych w nieładzie ręką okrutną wojny po polach, lasach, łąkach i zapadłych niekiedy ostępach.

W związku z tą akcyą przeprowadziła instytucya dokładną ewidencyę grobów i poległych, oraz bada-



Opieka nad grobami wojennymi: Rosyjski grób masowy na cmentarzu janowskim we Lwowie.





Samotny grób wojskowy w powiecie żółkiewskim. **Opieka nad grobami wojennymi:** Wojskowy cmentarz stryjski we Lwowie.



Opieka nad grobami wojennymi: Janowski cmentarz wojskowy we Lwowie.

nia w kierunku wyśledzenia nazwisk i pochodzenia poległych, co do których brakło tych danych. Na tych założeniach opiera się obecnie służba informacyjna instytucyi.

Dotychczas przeprowadzone zostały urzędowe badania w 500 prawie gminach wszystkich do instytucyi przynależnych powiatów, przyczem ustalono liczbę poległych na tym obszarze za czas od r. 1914 do chwili obecnej na 30.000. Naturalnie, przeważający procent strat znajduje się po stronie rosyjskiej. Inspektorat utworzył, względnie objął w swój zarząd kilka większych cmentarzy miejskich wojskowych, jak na przykład we Lwowie, dla którego stworzony został specyalny zarząd. Ponadto objął Inspektorat w zarząd cmentarze miejskie w Sokalu, Żółkwi, Radziechowie, Stojanowie i Kamionce Strumiłowej.

Prowadzone są także prace około urządzenia wspólnych wiejskich cmentarzysk. Wielu ludzi bezpłatnie ofiarowało ziemię pod te cmentarze. Rozpoczęło się też na wielką skalę pomyślane ekshumowanie poległych i przewożenie szczątków na wspólne cmentarze. Ekshumowaniem i przewożeniem szczątków na stałe miejsce wiecznego spoczynku zajmują się specyalne oddziały wojskowe, złożone z lekarzy, inżynierów i całego szeregu rzesz robotniczych.

Specyalni oficerowie zajmują się trudnemi badaniami w kierunku agnoskowania poległych. Jeden guzik, napoły zgniły epolet, jakiś charakterystyczny znak, służą za podstawę badań i dają w bardzo wielu wypadkach rozwiązanie zagadki, jaką kryje w sobie częstokroć zazdrośnie pokrywa grobowa.

Projekty cmentarzy i typy krzyży, ze szczególnem zachowaniem motywów narodowych, opracowali

inżynierowie i architekci, zarówno wojskowi, jak i przydzieleni czasowo inżynierowie lwowscy i galicyjscy.

Na życzenie rodzin przeprowadził Inspektorat szereg ekshumacyi zwłok, które przewiezione zostały na miejsca rodzinne.

Bardzo wiele pracy poświęcono cmentarzom lwowskim. Zarząd cmentarzy opracował artystycznie groby masowe na cmentarzu janowskim, stryjskim i łyczakowskim.

Na wszystkich cmentarzach lwowskich znajduje się około 8.000 poległych, rozmaitych narodowości. Cyfra ta nie oznacza jednak dokładnie faktycznej liczby poległych, gdyż w grobach, w których mieszczą się Rosyanie, pochowani w czasie inwazyi, spoczywa bardzo wielu poległych, których liczby jednak Rosyanie, kierując się swoją polityką, nigdy nie uwidoczniali na tablicach.

Ten pobieżny szkic świadczy chlubnie o ogromie prac, spełnionych przez Inspektorat, a instytucya sama jest jednym z nielicznych jaśniejszych promyków kultury, o której, niestety, wojna dzisiejsza wie jedynie bardzo niewiele.



Opieka nad grobami wojennymi: Ogólny widok wojskowego cmentarza łyczakowskiego we Lwowie.

Z frontów bojowych.

Gdy na froncie południowym Włosi prowadzą dalej swą bezskuteczną ofenzywę. o której piszemy na innem miejscu, na Zachodzie nie ustają zacięte ataki Francuzów i Anglików, którzy prowadzą tam walki niebywałemi dotychczas środkami. — Udało im się też osiągnąć częściowy sukces przez zajęcie miejscowości Messines i Wytschaete, o które toczyła się długo zacięta walka. Dokonano tego za pomocą największego w tej wojnie wybuchu min, o którym specyalny korespondent Biura Reutera podaje następujące szczegóły:

Około godziny pierwszej po północy nowe wielkie operacye zaczęły się rozwijać. Bezpośrednio przedtem nastąpiła eksplozya min, największa wogóle ze wszystkich rozsadzeń w tej wojnie. Słupy ognia wzniosły się ku niebu płomiennymi wieńcami wśród oszałamiającego huku. Wysadzono długi szereg podkopów minowych wzdłuż nieprzyjacielskich pozycyi, niektóre zbudowane dawniej niż przed rokiem. Ładunek tych min obejmował więcej niż milion funtów materyału wybuchowego.

Po wybuchu niebo stanęło w straszliwych łunach. Miało się wrażenie, jakgdyby ziemia pękała. Miny założono pod pozycyami nieprzyjacielskiemi jeszcze przed rokiem. Skutkiem wybuchu Messines i Wytschaete znikły całkowicie z powierzchni ziemi.

Referent wojskowy „Vosische Zeitung“ kapitan Salzmann, omawiając uderzenie Anglików w łuku Wytschaete, podnosi, że uderzenie to było od dłuższego czasu przygotowane.

„Walka artyleryi — pisze on — szalała tu od 22. maja, z ciągle wzmagającą się siłą. Rozsadzenia w największych rozmiarach jakie potem nastąpiły, były naturalnem zjawiskiem wielkiego ataku. Przewaga atakującego co do artyleryi i minierek, oraz olbrzymie rozsadzenia, jakie już raz koło St. Eloi powyrywały dziury o rozmiarach wprost trudnych do uwierzenia, musiały atakującemu zapewnić sukces początkowy. Tak się też stało: Anglikom powiodło się wgnieść nasz front, mniejwięcej w środku zaatakowanych pozycyi. Sukces ten jednak, biorąc pod uwagę środki, jakie w tym celu użyto, jest bardzo nikły i nie stoi w żadnym stosunku do poniesionych ofiar.



Opieka nad grobami wojennymi: Grób masowy w Sokalszczyźnie.

Gdy na południowym i zachodnim froncie walki wchodzą bądź co bądź w okres rozstrzygający, na Wschodzie panuje w dalszym ciągu spokój... Wojownicze przemówienia przywódców rosyjskich nie malują bynajmniej rzeczywistego nastroju żołnierzy rosyjskich, którzy pragną nie nowej ofenzywy, lecz pokoju... To też na wielu odcinkach frontu rosyjskiego panuje po obu stronach jakby milczące zawieszenie broni...



Francuska flota na straży: Francuskie okręty wojenne, patrolujące w okolicy wyspy Korfu

Francuska flota na straży.

W czasie ostatnich obrad francuskiej Izby posłów podniesiono zarzuty na bezczynność francuskiej floty wojennej. W jej obronie wystąpił minister marynarki, Lacaze, który przyznał wprawdzie, że kilka razy, gdy padały strzały na pełnem morzu, straż nadbrzeżna nie wyruszyła, ale dodał na jej wytłumaczenie, iż tylko z powodu, ponieważ załoga miała właśnie wolny dzień.

Zdaniem ministra, liczba niemieckich łodzi, patrolujących wzdłuż wybrzeży francuskich, nie wzrasta, za to środki koalicyi, dla zwalczania tych łodzi, stają się coraz skuteczniejsze. Na zapytanie, gdzie się znajduje *gros* floty wojennej francuskiej, odpowiedział minister, iż zgromadzono ją w okolicy Korfu, by nie pozwolić na wypłynięcie austro-węgierskiej eskadry.

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

2

— Ach! Jaka ty zawsze jesteś obojętna, moja Lolu.. Tak, jakby nie chodziło o twojego jedynego brata...

— Cóż mu pomogę tem, że przeziębię się i odmrożę sobie nogi?...

Panna Lola, pomimo futerka popielicowego, futrzanej czapeczki i zarękawka, drży istotnie z zimna. Jest bardzo anemiczna. Świadczą o tem jej blade wargi i żółtawa cera. Niedawno powróciła do domu z klasztornej pensyi, przywożąc świadectwo z ukończonego liceum i blednicę. Nie jest właściwie ładna, ale mogłaby nią być, gdyby trochę zdrowiej wyglądała i więcej miała w sobie młodzieńczej żywości. Ciemne oczy panienki spoglądają spokojnie i chłodno, ale jest w nich coś, co ostrzega, że spokój ten może być tylko chwilowy i pozorny.

Wkrótce pan Adamski pojawił się znowu. Miał poważną, strapioną minę, która trochę komicznie odbijała od jego pucułowatej twarzy, o różowej, błyszczącej skórze.

— Pani dobrodziejko, pan Konrad asenterowany...

Pani Żarnicka zbladła. Wargi jej zadrgały, powieki nerwowo mrugały. Ze spokojnej twarzy Loli nie można było nic wyczytać.

— No, przy takiem słabem zdrowiu, po niedawno przebytej chorobie, to pewnie tylko do służby pomocniczej — usiłował pocieszać pan Adamski.

Zbyt dumna i nadto panująca nad sobą, aby na ulicy wśród tłumu głośno objawiać lub choćby nawet zdradzić tylko swoje uczucia — zdołała zachować pozorny spokój.

— Tak?... Dziękuję panu! — powiedziała lekko drżącym głosem, nie wdając się w żadne dalsze objaśnienia, ni przypuszczenia.

— To chodźmy, mamo! — zaproponowała Lola. — Wiemy już, jak jest, a Konrad przecie sam do domu trafi.

— Chodźmy! Do widzenia panu!

Adamski głębokim ukłonem pożegnał panie. Kilka ubogo ubranych kobiet usunęło się skwapliwie na bok, tworząc wolne przejście dla pani Żarnickiej. Może uczuły szacunek dla właścicielki pięknej, dwupiętrowej kamienicy w rynku, może olśniło je kosztowne futro, a może onieśmieliły duma i chłód, wiejące od tej wyniosłej postaci.

— Biedna — szeptano tu i ówdzie — syna jej wzięli...

Ale z głośniejszem, poufalszem słowem zainteresowania jakoś nikt nie spieszył. Pani Żarnicka miała coś w sobie, co ludziom imponuje i trzyma ich w pewnem oddaleniu.

Powoli tłum zaczynał się rozchodzić. Asenterunek dobiegał końca, prawie każdy znał już wyrok komisyi, to też z każdą chwilą topniała liczba zgromadzonych przed gmachem „Sokoła". Rozchodzili się tem spieszniej, że dokuczliwy chłód naglił do odwrotu w ogrzane ściany mieszkań. Pozostała tylko gromadka najwytrwalszych kobiet, które postanowiły czekać na składających wojskową przysięgę „pospolitaków". Przemoczone, zziębnięte, kuliły się pod murami i czekały, nie chcąc stracić ani jednej chwili z krótkiej już obecności najbliższych — najmilszych — jakby obawiając się, aby im ich nie wydarto już dzisiaj, zaraz... Przestały nawet rozmawiać. Niektóre płakały, inne zachowywały się spokojnie, ale wszystkie były smutne. Opadło z nich gorączkowe podniecenie wyczekiwania, a miejsce jego zajęła już pewność. Wieczór już zapadał, kiedy z bramy gmachu zaczęły wysuwać się pojedynczo lub małemi grupkami postacie „zaprzysiężonych".

Jakiś parobczak wiejski, podpity trochę, czapkę z fantazyą na bakier przekręcił i na cały głos zawiódł:

Matuś moja, matuś,
Coś mnie wychowała,
Czemużeś mnie, matuś,
Do wojska oddała!

Próś-że, dziewczę, Boga
I ja będę prosić,
Żebym ja nie musiał
Karabinka nosić!

Prosiłam ja Boga,
Nie mogłam uprosić
Musisz ty, chłopaku,
Karabinek nosić!

Ówdzie ktoś inny nucił zcicha:

Napiszę na listeczku
Proste, szczere słowa:
Żegnaj mi najukochańsza
I bądźże mi zdrowa!

Napiszę ci na listeczku,
W smutku, ze łzą w oku,
Że mi dali mundur szary
I szablę do boku,

Jak już będę maszerował
Na śmiertelne boje,
Napiszę ci krwią serdeczną,
Że to o nieswoje!

Smętne, półgłośne nucenie zgłuszył chóralny śpiew, który w powietrze wieczoru uderzył piosenką rekrucką:

Oj! Zapłaczesz, dziewczyno!
Oj! Zapłaczesz!
Jak mnie na koniku
Z szabelką zobaczysz! *)

— — — — — — — — — — — — — — —

— Może to już i koniec będzie, kiedy Moskale „rewolucyją" zrobili i cara do kryminału zamkęli!

— Dziwy się dzieją, moja pani, że już człowiek ani sam wie, co o tem myśleć ma!... A dostała też pani tych gminnych ziemniaków?

— Ale gdzietam! Wystałam się cztery godziny na zimnie, na wietrze i z próżnym koszykiem poszłam do domu, bo zabrakło ziemniaków...

— A ten piekarz, Abramson, na naszej ulicy, piekarnię zamknął i już coś cztery dni chleba nie sprzedaje...

— Może nie ma mąki?

— Aha, nie ma!... Ma, ale jak mu kto po sześć koron za kilo da!... A to złodziej! Cholera!...

— I jest to sprawiedliwość?... Że to z nim porządku nie zrobią!

— A któż będzie robił, kiedy on radcą jest i tyle pieniędzy ma, że wszystko zasmaruje!... A biednemu — wiadomo — zawsze w oczy wiatr wieje!...

— Oj!... Tak, tak!...

— — — — — — — — — — — — — — —

Żarnicka rzuciła się synowi na szyję:

— Ach, Konradzie! Znowu to samo!... Oddalenie! Niepokój! Taki straszny niepokój dla mnie! O! Szczęśliwi ci, co idą, ale my, które zostajemy!...

Łzy spływały jej po policzkach. Mogła nareszcie ulżyć sercu i wypłakać się swobodnie.

Konrad pochylił się do ręki matki i pocałował ją.

— Niechże mamusia tego tak tragicznie nie bierze!... Raczej cieszyć się mama powinna, że mnie uznano za zdrowego zucha — usiłował żartować z bladym trochę uśmiechem.

— Ach, Boże!

— Ale teraz, to proszę o kolacyę, bo jestem tak głodny, że zanim pójdę do wojska, mogę umrzeć z głodu!

Matka otarła oczy i przestała płakać, jakby uspokojona swobodnym tonem syna. Panowała już znowu nad swojem wzburzeniem. Łzy były wogóle u tej kobiety rzadkością i nigdy nie płynęły długo.

— Lolu, każ podawać herbatę! Co będziesz jadł, Konradzie? Jajecznicę, czy szynkę?

— Może być to i to. Głodny jestem jak wilk!

Lola wysunęła się z pokoju i za chwilę zjawiły się na stole filiżanki z gorącą, wonną herbatą, a wkrótce potem jajecznica.

Konrad usiadł, ale, pomimo zapowiadanego apetytu, jakoś do jedzenia się nie zabierał. Mieszał łyżeczką herbatę i spoglądał przed siebie w takiem zamyśleniu, że brwi, zsunięte na czole, utworzyły głęboką zmarszczkę.

— Dlaczego nie jesz? Jajecznica stygnie. Weź szynki, doskonała! Chcesz?

— Tak... tak... proszę...

Machinalnie położył na talerzu duży, apetycznie różowy płat szynki i powoli rozrywał go nożem i widelcem.

— Kiedy spodziewasz się powołania? — zapytała Żarnicka.

— Prawdopodobnie za jakieś kilkanaście dni lub może nawet wcześniej... Tak, tak... nie mam czasu do stracenia... Niech mamusia będzie tak dobrą i zapakuje mi trochę rzeczy do podróżnej walizki... Jutro muszę jechać...

Twarz Żarnickiej drgnęła żywo.

— Jakto, jutro?! Dokąd pojedziesz? A, może chcesz poczynić jakie starania?...

Konrad podniósł na matkę swoje piękne, ciemne oczy, które twarz jego, prawie, że nieładną, czyniły dziwnie pociągającą.

— Pojadę do mojej narzeczonej, do Józi!... Chcę się ożenić mamo, zanim wyruszę do wojska!

Pierś Żarnickiej zafalowała nagle gwałtownie, czarne oczy zaiskrzyły się gniewem i władczem, przenikliwem spojrzeniem wbiły się w twarz syna.

Przez chwilę panowała cisza.

— Co?! — przerwała wreszcie matka kłopotliwe, ciężkie, jak powietrze przed burzą, milczenie. — Ty się chcesz żenić?... Teraz?... I to z tą... z tą... Józią... Ty żartujesz chyba, Konradzie!

Konrad wytrzymał wzrok matki.

— Nie myślę zupełnie o żartach. Mówię najzupełniej poważnie i chyba mamę to nawet dziwić nie powinno...

Lola przygryzła nagle wargi i pochyliła głowę nisko nad talerzem, aby ukryć i stłumić śmiech. Stosunek młodej dziewczyny do matki i brata nie był nazbyt serdeczny. Lola miała żal do matki za to, że wyróżnia i rozpieszcza syna, pobłaża jego wybrykom i płaci jego długi, a dla niej, dla córki, skąpo odlicza pieniądze i z każdego grosza żąda rachunku. To też budziło się w niej złośliwe zadowolenie, ilekroć „mamin synek", jak pocichu nazywała brata, przygotował jakąś niemiłą dla matki niespodziankę.

O miłości jego do Józi Maliniewicz słyszyła, ale była przekonana, że ta historya miłosna skończy się, jak wiele innych. Matka wyperswaduje Konradowi, odwróci uwagę jego zręcznie w inną stronę, podsunie zmiennemu młodzieńcowi nowy przedmiot zainteresowania i ostatecznie syn się podda, a wkońcu zapomni.

Lola pamiętała przecież, jakie to awantury działy się w domu, kiedy Konrad, wkrótce po zdaniu matury, zakochał się w jakiejś mężatce i chciał ją rozwodzić z mężem... W parę lat później zaręczył się z urzędniczką pocztową, o kilka lat starszą od siebie... W jednym i drugim wypadku i jeszcze w kilku innych, interwencya pani Żarnickiej dokonała swego. Konrad z początku występowaj energicznie, potem miękł, protestował coraz słabiej — wreszcie przyznawał matce słuszność i w niedługim czasie znajdował sobie nową miłość... Więc chyba i teraz... Napsuje mamie trochę krwi i koniec. Chociaż Loli zdało się, że w głosie brata słyszy jakiś ton bardziej męski, więcej stanowczy, niż zwykle.

Pani Żarnicka, która w pierwszej chwili przeraziła się i zdumiała, ochłonęła wkrótce, odzyskała spokój i równowagę umysłu.

Chłodnym, drwiącym trochę tonem rzekła:

— Nie rozumiem, jak ci podobne głupstwo do głowy strzelić mogło!...

— Dlaczego mama to głupstwem nazywa?

— No, daruj, ale nie wiem doprawdy, jak taki pomysł nazwać inaczej! Żenić się ni stąd, ni zowąd i to w takich warunkach!...

— O, przepraszam bardzo! Wcale ni stąd ni zowąd... Ja właściwie powinienem był już wtedy, zaraz po mojej chorobie... Sam nie rozumiem, jak się to stało, że tego dotychczas nie zrobiłem. Tak się to jakoś odwlekło...

Pani Żarnicka wiedziała wprawdzie doskonale, jak się to stało i dlaczego się odwlekło, ale nie uznała za stosowne tłumaczyć tego synowi.

— Mówisz, Konradzie, jak egzaltowany młodzik! Co znaczy: powinienem! Nad tem można jeszcze dyskutować...

Łagodna, trochę jakby rozmarzona twarz Konrada zmieniła się. Zacięły się usta, oczy błysnęły ostro. Stał się w tej chwili bardzo podobnym do matki.

— Nie, nie może być żadnej dyskusyi... Bo mniejsza o to, czy powinienem... Mama i tak nie chce zrozumieć tego, co Józia dla mnie zrobiła i co poświęciła!... Najważniejsze jest to, że ja chcę się żenić!...

Lola siedziała cichutko i słuchała z takiem natężeniem, że aż zarumieniła się jej blada cera i poczerwieniały uszy.

Żarnicka nie dała się zbić z tropu energicznem synowskiem: „chcę". Postanowiła jednak zmienić taktykę. Pohamowała gniew, zgryzła w sobie ostre zarzuty przeciw Józi i dopiero po dłuższej chwili milczenia rzekła niedbale, jakby od niechcenia:

— Moje dziecko, to jeszcze mało, że ty chcesz... Pytanie, czy ty możesz...

Konrad odepchnął ręką talerz, wyprostował się na krześle i spojrzał matce prosto w oczy.

— Jakto! Co mama przez to rozumie?

*) Wyjątek z wiersza Stanisława Stwory.

— Tylko to, że ty jeszcze ani uniwersytetu nie skończyłeś, ani wogóle żadnego samodzielnego nie masz stanowiska...

Konrad utkwił nagle wzrok we wzorzystą biel obrusa. Poczerwieniał. Na jego ruchliwej, wyrazistej twarzy odmalowała się silna przykrość.

— Doprawdy, mama to tak dziwnie mówi — zaczął po chwili z wyraźnem rozdrażnieniem. — Tak, prawda, straciłem trochę czasu... Ale czyż to tylko moja wina? Jak się tylko wojna skończy, nadrobię to...

— Ależ naturalnie — podchwyciła szybko, łagodząc momentalnie ton głosu i spojrzenie — Konradku, nie chciej mnie źle rozumieć... Ja ci żadnych wymówek nie robię. Chorowałeś przecież. Zresztą wiem, że młodość musi się trochę wyszumieć... Jesteś jeszcze młody! Masz czas na wszystko... Ale na ożenek i to jeszcze taki, stanowczo zawcześnie dla ciebie!

Zarnicka chciała coś jeszcze dorzucić, ale urwała, bo w tej chwili weszła do pokoju służąca.

— Czy można już sprzątnąć ze stołu, proszę pani?

— Sprzątnij!

Przy stole zapanowało milczenie. Lola plotła warkocze z frendzli obrusa, pani Zarnicka siedziała spokojna jak zawsze, Konrad palił papierosa. Mięśnie jego twarzy drgały nerwowo. Kiedy służąca wreszcie wyszła, rzucił niedopalonego papierosa na popielniczkę, poczem z błyskiem zniecierpliwienia w oczach i jakimś ironicznym uśmiechem zapytał:

— A wtedy, jak chodziło o Masławską, to nie było zawcześnie dla mnie?

Żarnicka mimowoli westchnęła na wspomnienie tego nieziszczonego swojego marzenia i uczuła, że fala nienawiści ku Józi wzbiera w niej.

— Ach! To było zupełnie co innego! Iza jest tak bogata!

— Aha!... „Hier liegt der Hund begraben!..." Więc to o pieniądze chodzi!... Więc dlatego, że Józia nie ma posagu...

Pani Zarnicka lekko wzruszyła ramionami.

— Moje dziecko, pieniądze nie są wcale tak mało znaczną rzeczą, jak się to tobie wydaje, może dlatego, że ci ich nigdy nie brakowało...

— Będę pracował, będę zarabiał!... Ja chcę, muszę mieć obowiązki poważne! Właśnie małżeństwo skieruje mnie na inną drogę!

— Szczególnie takie małżeństwo... z panną Józią!...

— Właśnie z nią... bo ją kocham i z nią się ożenię, a nie z jakimś workiem posagowym, czy „dobrym domem" z kolligacyami... A mama Józi nie cierpi... nie wiem, dlaczego... tej mojej dobrej, kochanej dziewczyny...

Płonęły mu oczy, nabrzmiały żyły na czole. Zaczynał i on unosić się gniewem i poznać było, że nie sok rubinowy, ale krew gorącą, czerwoną ma w żyłach.

Pani Zarnicka pominęła milczeniem ostatnie słowa syna, jakby ich nie słyszała wcale i spokojnie ciągnęła dalej:

— Gdybyśmy my, ja i twój ojciec, nie myśleli o tem, żeby coś zebrać dla naszych dzieci, to tobie napewno nie przyszłoby do głowy żenić się w tak oryginalny sposób... Ale ty może przeceniasz nasz majątek... Nie jesteśmy znowu tak bardzo bogaci. Ten dom podczas wojny niewiele dochodu przynosi. A zresztą, na nim jest zahipotekowany posag Loli... Przecież nie chciałbyś krzywdzić własnej siostry...

— Proszę mamy — wtrąciła żywo Lola — jeżeli o mnie chodzi, to niechaj Konrad się żeni, z kim chce i kiedy chce! Ja...

Urwała, poskromiona zimnem i ostrem jak stal spojrzeniem matki.

— Cicho bądź! — syknęła pani Żarnicka. — Nie wtrącaj się! Nikt się ciebie o zdanie nie pyta!

Konrad zerwał się z krzesła, założył ręce w tył i szybkim, nerwowym krokiem zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem. Uczucie jego buntowało się przeciw chłodnej logice matki. Rozumiał jednak, że ona ma słuszność z praktycznego punktu widzenia. Szukał gorączkowo w mózgu jakichś mocnych, przeciwnych argumentów i... znaleźć nie mógł... Zatrzymał się wreszcie przed matką i zdenerwowany, rozdrażniony zawołał:

— Tak, mamo! Masz słuszność!... Mam lat dwadzieścia siedm, straciłem dużo czasu i pieniędzy i nie zrobiłem nic... Nie zdobyłem dla siebie żadnego bytu samodzielnego, żadnego stanowiska. Byłem tylko rozpieszczonym synkiem, czerpiącym z maminej kieszeni...

— Ależ, Konradzie, ja tego nie powiedziałam, ja tego nie pomyślałam nawet!

— To wszystko jedno! Tak było! Ja sam wiem o tem. Ale się zmienię! Pozdaję egzaminy, będę się uczył, pracował, zarabiał! Wojna przecież może skończy się niedługo! Tylko teraz, mamo, ja ożenić się chcę i ożenię się... i ty, mamo, przyjmiesz ją, moją Józię!...

Teraz pani Zarnicka podniosła się z krzesła i wyprostowała swoją wysoką, bardzo jeszcze zgrabną kibić w czarnej, doskonale skrojonej sukni. Wyglądała dziwnie imponująco ze swoim regularnym, ale twardo rzeźbionym profilem, z oczyma, błyszczącemi gniewem i wązkiemi ustami, zaciętemi uporem.

— Co, co?... Ty chciałbyś!...

— Naturalnie przywieźć ją tutaj do tego domu, do którego i ja mam pewne prawa!... A gdzież będzie błąkać się moja żona, kiedy ja będę przy wojsku?...

— Konradzie, czy ty nie rozumiesz, jaką ty jej upokarzającą sytuacyę gotujesz?...

— Nic w tem nie widzę upokarzającego! To naturalne, że się żoną, w czasie nieobecności męża, opiekuje jego rodzina...

— Słuchaj! Jeżeli ta panna ma szczyptę rozsądku, to nie przyjmie twojej waryackiej propozycyi!...

— Ona mnie kocha!...

— Tak sądzisz? Ha, w takim razie tem mniej powinna się zgodzić!... Zastanów się, chłopcze! Poco ten pospiech? Jesteście młodzi oboje, możecie i powinniście czekać!...

— Nie, nie!

Konrad bronił się całym wysiłkiem woli przeciwko podsuwanemu chytrze planowi. Obawiał się tego, na co właśnie, jako na swego sprzymierzeńca, liczyła matka. Bał się, że czas i oddalenie wywołają znowu nieporozumienia pomiędzy nim i Józią, że coś się zmieni, że Józię może zdobyć kto inny... Na myśl, że Józia mogłaby wyjść za mąż, krew purpurowym obłokiem przesłaniała mu oczy, a zazdrość szalona, namiętna, mąciła wszelką możność jasnego, logicznego myślenia. Przez chwilę zmagał się ze sobą, ze swojem własnem wzburzeniem. Wreszcie przesunął ręką po czole, na które wystąpiły drobne perełki potu.

Urywanym, ale twardym głosem rzekł:

— Mamo! Moje postanowienie jest nieodwołalne! Jutro jadę do Józi, żenię się z nią i jako z żoną moją tutaj powrócę!...

Pani Zarnicka, zamiast wybuchnąć gniewem, złagodniała nagle. Podeszła do syna, ujęła w dłonie jego ciemną głowę, pocałowała go w czoło i powiedziała miękko, prosząco:

— Moje drogie dziecko! Nie będziemy już dzisiaj o tem mówili... Już późno, a ty jesteś taki wzburzony, zdenerwowany... Musisz odpocząć... Idź, połóż się, zaśnij... Jutro wstaniesz spokojny, ze świeżym umysłem, a wtedy pogadamy!...

Konrad nic nie odpowiedział. Dotknął ustami ręki matki, rzucił siostrze krótkie „dobranoc" i wyszedł z pokoju.

Pani Zarnicka z córką zostały same.

Lola z pod przymrużonych powiek przyglądała się z zaciekawieniem matce, która, zachmurzona znowu, ze ściągniętemi brwiami Junony, porządkowała coś w kredensie:

— Mamusiu — przerwała wreszcie milczenie panienka — a jaka to jest ta panna Józia Maliniewiczówna?

— Ach, niema o kim mówić! — odrzuciła niecierpliwie pani Zarnicka. — Un rien du tout! Kompletne zero! Córka jakiegoś urzędnika krakowskiego, który, zdaje się, zupełnie o nią się nie troszczy!... Dziewczyna zepsuta, bez wychowania, bez wykształcenia, zasad i... w dodatku bez grosza!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkoła inwalidów w Przemyślu.

Z powołaniem do życia krajowej Komisyi Opieki nad inwalidami wojennymi w Galicyi, powstały szkoły inwalidów: w Krakowie, we Lwowie i ostatnio w Przemyślu.

W maju 1916 r. ukonstytuował się miejscowy Wydział wykonawczy krajowej Komisyi Opieki nad inwalidami wojennymi z ks. Władysławem Sapiehą na czele i w krótkim czasie zorganizował szkołę. Kierownictwo techniczne objął inż. Michał Wojtów, inspektor szkół przemysłowych uzupełniających.

Szkoła musiała od początku walczyć z wielkiemi trudnościami. Brak w Przemyślu jakiejkolwiek szkoły przemysłowej, brak sił fachowych, urządzeń i narzędzi, powodował, że wszystkie warsztaty i ich urządzenia trzeba było dopiero wykonywać we własnym zarządzie lub sprowadzać z poza Przemyśla. Mimo tych trudności, dzięki gorliwej pracy kierownictwa, powstało w krótkim czasie siedm oddziałów przemysłowych: stolarski, kołodziejski, kowalski, ślusarski, krawiecki, szewski, koszykarski i introligatorski.

Szkoła zaczęła pożytecznie pracować i rozwijać się. We wrześniu stanęła obok budynku szkoły kuźnia kołodziejska, specyalnie zbudowana jako wzór kuźni wiejskiej. W październiku otworzono kurs piekarski i piekarnię szkolną na Zasaniu, która do maja b. r. wypiekła około dwieście pięćdziesiąt tysięcy bochenków chleba, a więc, obok spełniania zadania przygotowania inwalidów do tego popłatnego przemysłu, oddaje znakomite usługi aprowizacyi miasta. W marcu 1917 r. utworzono pracownię szczotkarską, a obecnie pracownię bednarską.

Obok szkoły przemysłowej powstał w lipcu 1916 przy krajowej szkole kupieckiej kurs handlowy inwalidów pod kierownictwem dyrektora tej szkoły dra Kazimierza Sawickiego. Kurs ten ma na celu przygotowanie do prowadzenia małych sklepów po wsiach i miasteczkach, ponieważ uczestnicy — przeważnie drobni włościanie — z powodu niezdolności do ciężkiej, fizycznej pracy, w handlu chcą szukać uzupełnienia środków utrzymania. Z tego powodu, dla natychmiastowego zastosowania nabytych wiadomości teoretycznych do praktyki i zapoznania się uczestników ze wszystkiemi czynnościami kupca, utworzono sklep wzorowy, w którym inwalidzi pracują praktycznie.



Szkoła inwalidów w Przemyślu: Ogólny widok szkoły. Obok kuźnia szkolna.

Z końcem maja skończył się kurs drugi i natychmiast rozpoczął się trzeci, gdyż kursa te stanowią stałą szkołę, przynoszącą wielkie korzyści ciężej uszkodzonym, a intelligentniejszym inwalidom.

Równocześnie odbywają się kursa dla analfabetów i nauka uzupełniająca przy szkole przemysłowej, a w najbliższym czasie utworzone zostaną kursa szkoły ludowej i wydziałowej; kursa te mają na celu podniesienie ogólnego wykształcenia.

W celu zapewnienia inwalidom środków utrzymania przez wyszukanie im posady odpowiedniej do ich zdolności fizycznej i fachowego wykształcenia, istnieje przy Wydziale biuro opieki socyalnej, które pod kierownictwem prof. dra B. Kozłowskiego rozwinęło bardzo gorliwą działalność i potrafiło znaleźć dla wszystkich inwalidów, opuszczających szkołę, korzystne posady w różnych okolicach kraju.

Dla zaznajomienia społeczeństwa z rozwojem szkoły i wynikami prac uczniów, jakoteż dla zachęcenia go do angażowania inwalidów do zajęć, urządzono w połowie kwietnia wystawę prac szkoły inwalidów wszystkich oddziałów.

Szczególne zainteresowanie budziły wyroby kołodziejskie i kowalskie, jakoteż stolarskie i koszykarskie. Wśród stolarskich wyrobów uderzała odrębna grupa warsztatów dla własnych pracowni: krawieckiej, szewskiej, szczotkarskiej i stolarskiej, urządzenie dla sklepu inwalidów i t. d.

Osobne miejsce zajmowały aparaty terapeutyczne dla gimnastyki palców, pomysłu przodownika w pracowni stolarskiej, zwykłego żołnierza-stolarza, który w sposób prosty, a prawie genialny, rozwiązał konstrukcyę zawiłych i kosztownych aparatów zagranicznych. Między wyrobami koszykarskimi bawiły oko drobne mebelki dla dzieci, silnie wykonane kosze i rzadko obecnie spotykane, oplatane gąsiory.

W ogólności wystawa wykazała wzorowe prowadzenie szkoły i zupełne osiągnięcie jej celu: przygotowania inwalidów do bezpośredniego wykonywania rzemiosła, które zapewniłoby im egzystencyę i to w czasie możliwie najkrótszym. Te pomyślne rezultaty pracy dowiodły ile zdolności drzemie wśród ludu i że szczególnie nasi włościanie nadają się do każdej gałęzi przemysłu.

Po ukończeniu wystawy miejscowej, odesłano okazy do Wiednia na wystawę szkół inwalidów



Udaremniona ofenzywa włoska: Ogólny widok włoskiego pancernego fortu Punta Gerbin na granicy południowego Tyrolu.



Szkoła inwalidów w Przemyślu: Wystawa prac inwalidów, urządzona w sali magistratu.

całej Austryi i spodziewać się należy, że szkoła przemyska, chociaż najmłodsza, zajmie tam poczestne miejsce.

Udaremniona ofenzywa włoska.

Jakkolwiek wre jeszcze zacięta walka na włoskim froncie, dziesiątą ofenzywę Włochów można już, zdaje się, uważać za złamaną. Gdy pierwsze, najgwałtowniejsze uderzenia nie osiągnęły żadnego realnego sukcesu, nie ulega wątpliwości, że i dalsze wysiłki, po tak ciężkich stratach, jakie ponieśli Włosi, nie mogą dojść do zamierzonego celu. A straty te są olbrzymie. W nieprzerwanych szturmach około trzydzieści tysięcy piechoty włoskiej dostało się do niewoli zwycięskich obrońców, a dziesiątki tysięcy zaległy plac boju, lub okryte ranami, musiały z frontu ustąpić.

Przygotowania do tej dziesiątej bitwy z rzędu trwały szereg miesięcy. Poprowadzone tedy zostały na daleko rozleglejszą skalę, aniżeli wszystkie dotychczasowe, zarówno co się tyczy ilości sił ludzkich, wprzągniętych do walki, jak i dział, oraz zapasów amunicyi, które nagromadzono przez czas długi zimowego spokoju na froncie. Nigdy nie uderzano dotąd jednocześnie na tak szerokiej przestrzeni. Od Auzzy aż do Porto Rosegga nad morzem, przestrzeń to czterdziestokilometrowej długości. Nigdy dotąd bitwa nie ciągnęła się tak długo bez przerwy. Jak zestawia sprawozdawca wojenny „Pester Lloydu", najdłuższa z dotychczasowych bitw nad Soczą, szósta z rzędu, trwała od dnia 6. do 17. sierpnia 1916. Gwałtowna bitwa dziewiąta trwała tylko trzy dni wszystkiego. Co do sił ludzkich, które rzucono do walki, uderzało w szóstej bitwie na stanowiska austryackie siedmnaście włoskich dywizyi. W siódmej bitwie, pomiędzy doliną rzeki Wipawy, a morzem atakowało jedenaście włoskich dywizyi. W czasie ósmej i dziewiątej bitwy operowało w dolinie Wipawy po pięć, na płaskowyżu Krasu zaś po dwanaście niemal włoskich dywizyi. Obecnie liczba poprowadzonej do walki piechoty daleko była wyższa od wszystkich, podanych dotychczas. Tylko długość przygotowania artyleryjskiego była mniejsza nieco, zrównoważona zato intenzywnością ognia, który rozwijał siłę prawdziwie piekielną. Z tego przedłużenia atakowanego frontu w kierunku ku północy, krytycy wojskowi rozmaite wyciągali domysły co do zamiarów Cadorny.

Zdaniem niektórych, czas, który umożliwił armii włoskiej rozległe przygotowania, rozszerzył także pole widzenia włoskiego dowództwa. Tym razem nie o Tryest pokusił się Cadorna jeno. Zamarzył także o drodze do Lublany, którędy zmierzać chciał doliną Wipawy od południa, od zachodu zaś ławą szeroką od Auzzy i Plavy aż do Monte Santo. Zdaniem innych, ataki nieprzerwane, skierowane na północ od Gorycyi, w okolicy Plavy, Kuka, aż ku Monte Santo i Vodice, miały na celu zadania szczuplejsze daleko. Chodziło o zdobycie gór, panujących nad kotliną Gorycyi, od panowania których zależy władztwo w mieście samem na przyszłość. Zdaje się wszakże, że najtrafniejszem będzie tu przypuszczenie, iż Cadornie chodziło o manewr okalający na szeroką skalę. Nie mogąc, mimo tylokrotnych wysiłków, zdobyć Tryestu atakiem czołowym na płaskowyże Krasu, zamierzył wyminąć pozycye, które praca niezmordowana długich miesięcy zamieniła w stanowiska nie do zdobycia i nagłym, wielkim atakiem od północy, biorąc w posiadanie pasma gór nad Soczą, powyżej Gorycyi, dostać się na tyły austryackich linii na Krasie i w ten sposób dotrzeć do wymarzonego portowego miasta.



Szkoła inwalidów w Przemyślu: Pracownia kołodziejska.

Jakkolwiek zakrojone były te włoskie zamiary, rozbiły się o niezdobyte pozycye wojsk austro węgierskich. Gdy wszystkie ataki na północ od Wipawy zostały odparte, przypuścili Włosi znagła szturm czołowy do pozycyi na Krasie, przekonani, że bitwa na północ od Gorycyi zdołała odwrócić uwagę komendy nieprzyjacielskiej od właściwych celów ataku i że osłabiono front Krasu, by zeń wysłać posiłki na północ. Lecz i te rachuby były zawodne. Stanowiska na Krasie okazały się niewzruszone, jak dawniej. Raz po raz rozbijały się szturmy, podejmowane na wzgórza Fajti Hrb i Hudi Ług, od północy i południa broniące przystępu do zestrzelanej całkowicie wsi Kostaniewicy. Tylko przy owym „nosie" koło Jamiano, wyskakującym ku zachodowi i wrzynającym się we włoskie linie, trzeba było wyprostować linię i cofnąć stanowiska o kilometr wstecz. Zresztą aż ku Porto Rosegga przy Monfalcone wszystkie pozycye wytrzymały zwycięsko najsroższy napór nieprzyjacielski.

Bez względu na to, dla jakich celów ofenzywa włoska obecna została podjęta, czy w niej chodziło o odciążenie francuskiego frontu i przykucie do miejsca wojsk austro-węgierskich, czy też był to ostatni wysiłek włoski, by w chwili powszechnego „finishu" wojny światowej dobić jeszcze do mety i mieć w ręku siłą zbrojną zdobyte owo terytoryum, które ze swej strony stawiają jako warunek pokoju, można już dziś stwierdzić, że ostatnia, dziesiąta z rzędu



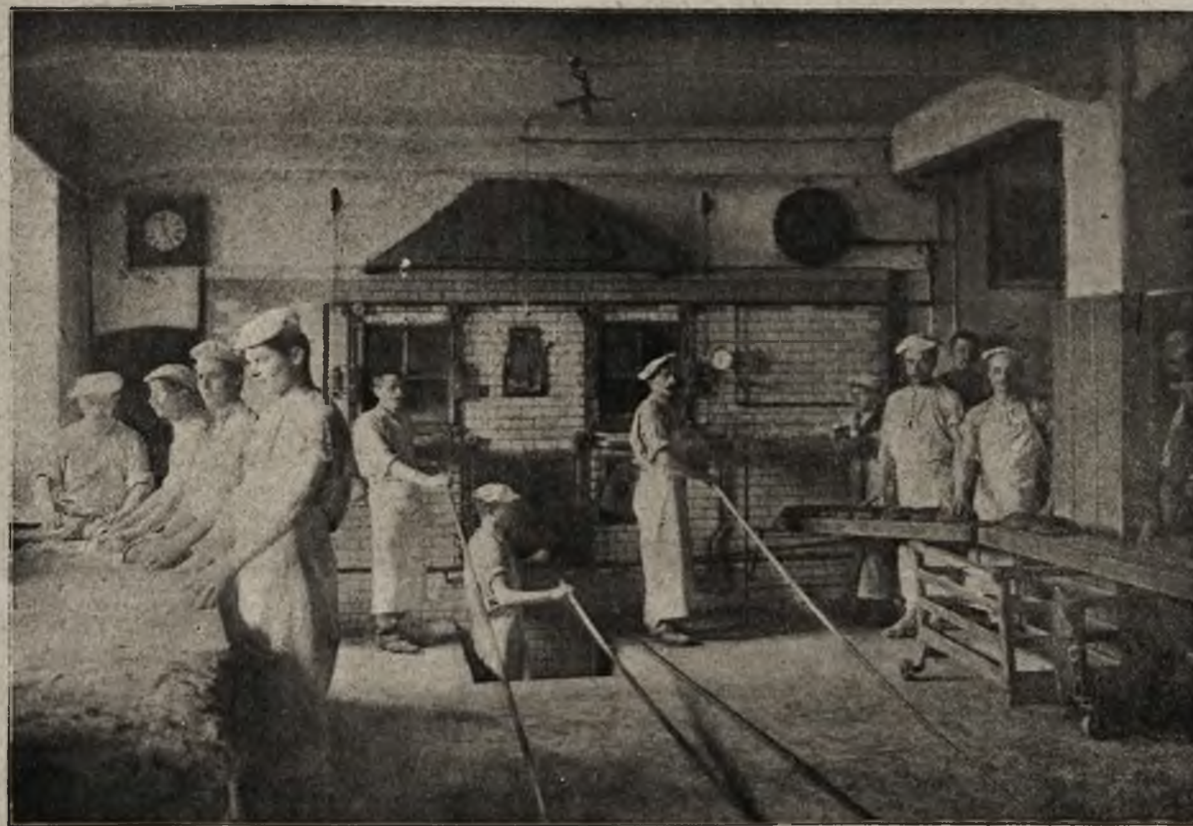
Szkoła inwalidów w Przemyślu: Pracownia stolarska.

ofenzywa włoska, tak samo, jak i poprzednia, pozostała tylko daremnym wysiłkiem, który przyniósł Włochom tylko nową hekatombę ofiar. A trzeba tu jeszcze zauważyć, że w ostatnich walkach pomagała armii włoskiej artylerya angielska, co stwierdza korespondent berneńskiego „Bundu“.

„Główne uderzenie — pisze — skierował wódz armii włoskiej Cadorna na odcinek pomiędzy morzem i Kostaniewicą. Na tym froncie, mierzącym okrągło dziesięć kilometrów, grało 700 włoskich dział. — Znajdowały się pomiędzy niemi liczne działa angielskie najcięższego kalibru. Wszystkie doborowe formacye włoskie poszły do szturmu. Bitwa rozpoczęła się huraganowym ogniem artyleryi, jakiego dotąd nigdy nie było po stronie włoskiej.

Kolumny włoskie szły tym razem do ataku nie w tyralierce i luźnych oddziałach, lecz w ścisłych kolumnach, dochodzących do 700 metrów długości. Pierwszy szturm, jak to zwykle bywa, miał pewne powodzenie. Wtargnęli do rowów przeciwnika pod Lukaticem i na górach 208 i 144, dostawszy się na wązkim froncie o jeden kilometr na wschód. — Długo toczyła się walka na północ od Jamiano, ale już tutaj nie powiodło się przełamanie frontu austryackiego. Od strony Nowa Wąs poszły do boju nowe kolumny włoskie, ale z okolicy Sela rozwijała się nieustannie kontrofenzywa austryacka. W godzinach popołudniowych już było widocznem, że nad atakami włoskimi zapanowano“.

W walkach tych brały udział nawet okręty angielskie, które ostrzeliwały armię austro-węgierską od strony morza. — Korespondent „Neues Wiener Tagblattu“ tak opisuje jeden z epizodów tej walki:



Szkoła inwalidów w Przemyślu: Piekarnia.

„Granaty nieprzyjacielskie padają na Hermadę. Nagle rozlega się okrzyk: „Okręty wojenne!“ Na morzu widnieją ciemne przedmioty z pióropuszami dymu. Od czasu do czasu błyska, jakby iskra. Nowy ton w porannym koncercie wojennym. Nagle rozlega się ryk, wstrząsający ziemią.

— Anglicy — powiada ktoś.

— Ależ to nie okręty. To laguny pod Grado.





Z frontów bojowych:

W menaży oficerskiej 16. p. p. obr. kraj na wschodnim froncie (300 kroków od nieprzyjaciela).

Przy trenie 16. p. p. obrony krajowej na wschodnim froncie.

Ale telefon z sąsiedztwa głosi:

— To okręty angielskie ostrzeliwują wybrzeże.

W wązkiej grocie skalnej żołnierze zaczynają kaszlać, jakby w kokluszu.

— Wdziewać maski gazowe! — rozkazuje ktoś.

Granaty gazowe uderzają tuż obok groty skalnej. Nieznośna woń ostrzega nas. Oczy napełniają się łzami, niebo, morze, rycząca ziemia zlewa się w plamę w zamglonym wzroku. Granaty ciągle biją — już wpadają odłamki kamieni przez wązki otwór do groty. Na dole, nad rowami strzeleckimi rozwiewają się dymy. I nagle, jakby z tysiąca otworów i szpar wysypuje się mrowie. To piechota włoska idzie do szturmu. Poza kolumnami szturmującemi wznosi się ściana ognia i dymu. Sto paszcz ryczących zieje ogniem zaporowym.

Ogień działowy na chwilę słabnie. Na dole, pomiędzy Kostaniewicą a Selem, znowu dobywa się z ziemi mrowie. To kontratak wojsk austryackich. Znaki optyczne rozpoczynają opowiadać. Kontratak ma powodzenie...“



Sport we Lwowie 1914—16 r.: Drużyny piłki nożnej „Pogoni“.

Sport we Lwowie 1914-16 r.

Pomimo tak trudnych warunków, w jakich znalazł się w czasie wojny Lwów, życie sportowe nie wygasło bynajmniej w tem mieście, jak to świadczy wydane obecnie sprawozdanie lwowskiego klubu footbalistów „Pogoni“, obejmujące lata wojenne 1914—1915—1916.. Ze sprawozdania tego okazuje się, że nawet w czasie inwazyi rosyjskiej „Pogoń“, choć pozbawiona prawie wszystkich dotychczasowych członków, nie przerwała swej sportowej działalności, którą prowadziła wśród młodzieży szkolnej.





Udaremniona ofenzywa włoska: Zburzone wieże pancerne w Verenie. **Z frontów bojowych:** Szczątki zburzonej wsi na Wołyniu





Match „Cracovii“ z „Pogonią“. **Sport we Lwowie 1914—16 r.:** Moment z matchu wojskowych z cywilnymi.

„I właśnie na naszem boisku — czytamy w sprawozdaniu „Pogoni“ — na nasze wezwanie, zaczęli się gromadzić uczniowie, oddawać ćwiczeniom sportowym i tworzyć między sobą drużyny, które wystąpiły do szlachetnego współzawodnictwa. Młodzież z ochotą spieszyła codziennie przed wieczorem na boisko, by tu, pod dozorem starszych członków klubu, oddawać się zdrowym ćwiczeniom sportowym.

Po wkroczeniu do Lwowa wojsk austro-węgierskich „Pogoń“ rozpoczęła urządzać publiczne zawody, przeznaczając dochód na różne cele humanitarne, jak na wdowy i sieroty po Legionistach, na głodnych w Warszawie i t. p.

„Pogoń — zaznacza sprawozdanie — może się pochlubić, iż jest jedynym klubem sportowym we Lwowie, który pierwszy zaczął urządzać zawody na cele dobroczynne i patryotyczne. Zawodów tych urządzono dwanaście, a nieznaczny z początku ich dochód stale wzrastał.

Od tej chwili życie sportowe we Lwowie, po pierwszym okresie depresyi, zaczęło wchodzić na drogę stałego rozwoju. Liczba członków „Pogoni“, których podczas inwazyi i w drugiej połowie 1915 r. można było na palcach zliczyć, wzrosła w r. 1916 do kilkuset. Również liczba ćwiczących, czyto w piłce nożnej, czy w lekkiej atletyce, stale wzrastała. Poza drużyną wojskową „Pogoni“, złożoną ze starszych graczy pozagalicyjskich — boisko jej gościło drużynę „Lotników“, „Automobilistów“, drużynę ruską „Ukrainę“, drużynę żydowskiego klubu sportowego „Hasmoneę“, drużynę lwowskiego klubu sportowego „Hertę“, powstałą na gruncie Lwowa podczas wojny, wreszcie drużyny „Białych“ i „Zielonych“ (gracze austryaccy i węgierscy).

Ogółem drużyna „Pogoń I“ grała 21 razy, 45 bramek zyskała — 44 przegrała, a wszystkie drużyny Pogoni grały 53 razy. Drużyn było siedm: wojskowa, cywilna, najlepsi gracze z tych dwóch drużyn tworzyli Pogoń I, nadto Pogoń II, III, IV i juniorka.

Z tego „wojennego“ okresu działalności sportowej „Pogoni“ zamieszczamy w dzisiejszym numerze grupę drużyn piłki nożnej oraz dwa epizody z zawodów.





Uszkodzone pociskami koszary w Verenie. **Udaremniona ofenzywa włoska:** Ufortyfikowana przez wojska austryackie góra Di Vezzna.

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku"

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

19

7. czerwca. Henryk jest od kilku dni silnie przeziębiony. Męczy go kaszel i nieustająca chrypka. Mówią, że to choroba niebezpieczna. Dowiedziałam się o tem przypadkiem od ludzi obcych. Czy chociaż zawezwie mnie do siebie, jeżeli czuć się będzie gorzej? Może chociaż wówczas przypomni sobie o mnie i zapragnie przeprosić mnie za zmarnowane życie, które jest jego dziełem! Ale nie, nie! Jeszcze się łudzę, a przecież powinnam być raz na zawsze wyleczona z wszelkich nadziei! On mnie zanadto nienawidzi i pogardza moją nędzną osobą! Gdyby nie ja, byłby się ożenił z jaką bogatą i piękną panną ze swojej sfery, którą mógłby się pochwalić przed znajomymi.

8. września 1894. Odwiedził mnie dzisiaj Cyryl. Obiecano mu posadę w Buffalo przy jakiejś rafineryi. Wieczorami studyuje dalej swoje inżynierskie prace, do których zapala się coraz więcej. Cyryla również pożera wygórowana ambicya i pragnienie zdobycia wysokiej karyery w świecie. Miejmy nadzieję przynajmniej, że zacne jego serce nie zmieni się przez to i nie pozwoli cierpieć tym, którzy go kochać będą. Cyryl jest dobry i szlachetny, ale zanadto ambitny. Boję się takich ludzi, o ile ambicya nie idzie u nich w parze z dobrocią serca. Tacy, gotowi są na wszystko, aby tylko dojść do zamierzonego celu.

21. grudnia 1895. Tysiąc dolarów! Mam tysiąc dolarów złożonych w banku. Tyle chociaż skorzystałam z sukcesów mojego męża. Iteż on sam zarabiać dziś musi. Mam ochotę napisać testament na korzyść Cyryla. Niechże on chociaż wspomina mnie życzliwie po mojej śmierci. Chcę mu dać ten dowód pamięci, bo lubię go bardzo za jego dzielność i pracowitość.

19. lutego 1896. Myślałam kiedyś długi czas nad tem, coby się stało, gdybym umarła. Myśl, że wypisanoby nazwisko Clemmens na moim grobie, jest mi wstrętna. Czy mogę dopuścić do tego kłamstwa? Czy powinnam zabrać ze sobą tę tajemnicę? A jednakże co robić? Obiecałam milczenie, a Henryk wie, gdzie chowam papiery. Mógłby w każdej chwili je zniszczyć, gdyby mu tego było potrzeba.

17. czerwca 1896. Dlaczego mój Boże nie jestem młoda i nie posiadam wykształcenia i dobrego ułożenia. Jakiż inny byłby mój los! Byłabym tam, w tej bogatej willi, szanowana przez największe osobistości tego miasta. Inne kobiety zazdrościłyby mi mojego stanowiska i tak sławnego męża! Pomyśleć, że takie niesprawiedliwości mogą się dziać na świecie, a ja jedna, najbardziej interesowana w tem wszystkiem, nie mam dosyć siły czy odwagi upomnieć się o to, co mi się z prawa należy! Gdybym chociaż mogła się wcisnąć tam na chwilę i przekonać się, w jakiem on żyje otoczeniu!

1. lipca. Udało mi się doprowadzić mój zamiar do celu. Poszłam do panny Ormond. Miałam przecież prawo to uczynić, bo Henryk jest od paru dni nieobecny i chciałam się dowiedzieć, kiedy powróci. Przedstawiłam się naturalnie jako osoba, u której on stołuje się w dniach rozprawy, więc moja wizyta nie mogła wzbudzić podejrzeń. Siostra jego przyjęła mnie w jego gabinecie. Widziałam jego biurko, fotel, na którym siada, kiedy pracuje. Serce rozsadzało mi piersi, a jednak musiałam starannie ukrywać moje wzruszenie. Ciekawa jestem, jakby się zachowała ta młoda panna, gdybym była jej oznajmiła, że jestem jej bratową? Wyszłam z willi jeszcze bardziej nieszczęśliwą, niż kiedy do niej wchodziłam.

12. stycznia 1897. Wiele kobiet na mojem miejscu głosiłoby całemu światu, że mają tak znanego i inteligentnego męża. Co do mnie, dziwną radością przejmuje mnie myśl, że posiadam pewną władzę nad Henrykiem, że mamy wspólną tajemnicę, którą wyjawić mogę w każdej chwili. On musi również niekiedy myśleć o tem i w takich chwilach lękać się mnie musi niezawodnie. Dla tej przyczyny Henryk musi zawsze uczynić to, czego sobie życzę. Tajemnica moja to łańcuszek uwiązany u jego ręki, który pociągam według upodobania. Nie nadużywam nigdy mojej władzy, tylko w chwilach większego buntu i fantazyi. I cieszy mnie wówczas przekonanie, że on, ten silny, ten niepokonany człowiek znajduje się na mojej łasce.

30. marca 1898. Stary Hildreth umarł. Wczoraj ta wiadomość doszła do mnie. Zniknął chociaż jeden człowiek, którego się już obawiać nie potrzebuję. Czy grozi mi jednak niebezpieczeństwo z innej strony? Przychodzą chwile, kiedy czuję niepokój jakiś dręczący i niepewność, to znowu przekonanie, że obawy moje są dziecinne i nieuzasadnione. Bo przecież nie jestem przeszkodą w jego życiu obecnem. Usunęłam się w cień, zeszłam z jego drogi, pozostawiając mu wolność zupełną. Byłby człowiekiem podłym i bez sumienia, gdyby nie uznał mojej wyrozumiałości i chciał mi jeszcze jaką krzywdę uczynić. Hildreth pozostawił syna, Gordona, ale ten jest jeszcze bardzo młody i niebezpiecznym dla mnie być nie może.

16. listopada 1899. Czy można być zazdrosną nie kochając? Zdawało mi się, że już oddawna miłość umarła w mojem sercu, że nie pozostało nic z dawnego przywiązania, tylko gorzkie i smutne wspomnienie. Skąd więc ten wybuch szalony, wywołany wiadomością, że Henryk zawiązał intrygę z tą młodą dziewczyną Leonią Pratt! Przecież on już dla mnie jako mąż i mężczyzna dawno istnieć przestał i jego osobiste znajomości nie zajmowały mnie wcale. Co prawda Henryk nie dawał mi dotąd jawnych powodów do zazdrości. Wiadomość ta więc uderzyła we mnie jak piorun. Straciłam wszelkie cechy bierności, jaką do tej pory zachowywałam i wypowiedziałam ostro słowa prawdy tej dziewczynie. Co zaś do niego, to wie, co go czeka, jeżeli poważy się raz jeszcze zobaczyć się z nią. Wybuch ten jednak uspokoił mnie trochę.

30. listopada. Leonia Pratt opuściła Sydney. Dzięki mnie życie jej stało się niemożliwe dla niej. Henryk jest uprzedzony. Nieszczęście spadnie na jego głowę, jeżeli coś podobnego się kiedy powtórzy. Jedna rzecz tylko niepokoi mnie bardzo i spędza sen z powiek. Nasz akt małżeński zniknął z szuflady biurka. Czy to możliwe, aby mój mąż go wykradł? Wchodził często sam do tego pokoju, kiedy ja zajętą byłam w kuchni koło śniadania. W każdym razie już nic mnie nie wstrzymuje podzielić się z kimś tajemnicą naszego nieszczęsnego związku. Nie pozwolę, aby mnie ubiegł i bezkarnie uczynił jakieś głupstwo. Muszę bacznie czuwać nad spokojem reszty dni moich.

15. kwietnia. Jadę do Utica. Zabiorę ten pamiętnik, gdzie spisywałam wszystkie przeżycia swoje, ze sobą. Może powierzę je Emilii, albo lepiej jeszcze jej matce. Niewiadomo, czy kiedyś nie oddadzą te kartki przysługi komuś, odkrywając, jakie łączyły mnie stosunki z adwokatem Ormond. Kończę więc, oznajmiając raz jeszcze, że jestem prawą żoną adwokata Henryka Ormond, zamieszkałego w Sydney. Ślub nasz odbył się w Swanson 3. lipca 1887, co sprawdzić można w każdej chwili w księgach kościelnych tamtejszych.

Sydney, 15. kwietnia 1900.
Marya Anna Ormond.

Zakończenie.

— Czego pan żąda jeszcze odemnie? Co znaczy ten hałas i te krzyki na ulicy?

— Przychodzę wypełnić daną obietnicę, miss Darnell, przed powrotem swoim do Nowego Jorku. Powiedziałem pani, że może zaufać mi w zupełności, że wszystko zakończy się ku pani zadowoleniu. Czy jest pani dosyś silną, aby znieść wrażenie dobrej wiadomości?

— Oh! Proszę mówić! — zawołała miss Darnell składając ręce błagalnie.

— Pytała pani, co znaczy ten hałas na ulicy, nieprawdaż? — zapytał pan Gryce.

— Tak.

— A więc. Jeżeli tak hałasują na ulicy, to dla tej przyczyny, że pan Cyryl Morgan został uwolniony, bo jego niewinność została stwierdzoną raz nazawsze.

Młoda dziewczyna położyła rękę na piersiach, jakgdyby chcąc stłumić gwałtowne bicie serca i rozszerzonemi źrenicami wpatrzyła się w starego detektywa.

— Pan Ormond — wyszeptała głosem zduszonym, z trudem chwytając powietrze.

— Pan Ormond powiedział prawdę, w ostatniej chwili przed śmiercią oskarżając się dobrowolnie.

— Co pan mówi? Więc to on!

— Tak, on. Pozatem odkryliśmy bardzo ciekawe rzeczy, miss Darnell, rzeczy, które wyjaśniają, a nawet i poniekąd tłumaczą winę pana Ormond. Pan Ormond był żonatym.

— On żonatym! Ależ to niemożliwe! — zawołała młoda dziewczyna — On przecież ubiegał się o moją rękę i nie tail tego przed nikim!

— Fakt, że starał się o rękę pani, potwierdza tylko przekonanie moje, że Ormond już dawno nosił się z myślą dokonania tej zbrodni.

— Nie rozumiem pana.

— Pan Ormond zamordował swoją żonę, aby módz następnie połączyć się z panią.

— To okropne! — zawołała młoda dziewczyna, blednąc silnie — A więc pani Clemmens?

— Była żoną pana Ormond.

— To nie do uwierzenia! To nie do uwierzenia! — powtarzała miss Darnell nieprzytomna prawie z wrażenia — Panie Gryce! Nie mogę nawet przypuszczać, aby to było prawdą! Czy pan rzeczywiście mówi to z całem przekonaniem?

— Przepraszam panią, miss Darnell, ale niechciałbym za nic w świecie wzbudzać w pani nadziei, które fakta same rozwiaćby mogły. Nie przypuszcza pani chyba, że niewinność pana Morgan skonstatowaną została bezpodstawnie, bez dowodów jawnych i pewnych.

— A ja czyniłam wszystko, aby obarczać go wobec sędziów! — szepnęła młoda dziewczyna ze wzruszeniem.

— Niech pani już o tem nie myśli. Wszystko już przeszło. Teraz przyszłość przedstawia się dla pani w jak najjaśniejszych kolorach.

— Oh! Nie panie Gryce! — rzekła miss Darnell, uśmiechając się smutnie. — Przypuśćmy nawet, żebym była nie uległa tej fatalnej myśli, która doprowadziła mnie do krzywoprzysięstwa, czy sądzi pan, że pan Morgan będzie mógł zapomnieć o niesłusznych posądzeniach, których się dopuściłam względem niego?

— Pan Morgan wie już teraz o przyczynach, które pani kazały sądzić w ten sposób. Czy i on zresztą nie jest winnym wobec pani? Czyż i on nie miał podobnych myśli i posądzeń? Pani nie pyta mnie o przyczyny, które pozwoliły mu zwątpić o pani?

— Zapewne sądził, że ten pierścień...

— To nie byłoby wystarczające, zapewniam panią! — wyrzekł poważnie stary detektyw.

I w krótkich słowach, chcąc położyć koniec nieporozumieniu tych dwojga młodych ludzi, których obopólne cierpienia mogły wywołać współczucie niejednych, pan Gryce opowiedział miss Darnell, w jaki sposób Cyryl Morgan nabrał ze swojej strony przekonania o jej winie.

— To szczególne jednakże! — zawołała młoda dziewczyna — Jak mogliśmy oboje zawierzyć okolicznościom i pozwolić oszukać się w tak okropny sposób! I cóż w tem dziwnego, żeśmy oboje zwątpili o sobie?! A jednak nie wybaczę sobie nigdy tej pomyłki, bo on chociaż ma na swoje wytłumaczenie znajomość pewnych niepokojących rysów mojego charakteru, podczas kiedy ja nie mogę tego o nim powiedzieć. To wszystko, co wiedziałam o nim, było tylko na jego korzyść. Niech mu pan to powie, panie Gryce! Niech mu pan powie, jeżeli go pan zobaczy, że nie zapomnę nigdy jego szlachetności i poświęcenia okazanego kobiecie, którą mógł uważać za winną tak potwornej zbrodni. Teraz rozumiem wszystko i nie potępiam go za to podejrzenie, które uzasadnione było w jego oczach faktami. Ja również uległam pomyłce złożonej z fatalnych okoliczności.

— Wolę, aby to pani wypowiedziała sama, miss Darnell. — rzekł pan Gryce, żegnając się z młodą dziewczyną.

Po jego odejściu głęboka rozpacz ogarnęła Beatryczę.

— Już nigdy — myślała — nie będę kochaną przez niego. Muszę zapomnieć o wszystkiem, co nas niegdyś łączyło. Będę żyć sama do końca dni moich smutnych i gorzkich, jakie są udziałem wszystkich opuszczonych i samotnych kobiet. Już nikt nie zbliży się do mnie ze słowami miłości, aby rozjaśnić łagodnym blaskiem smutek mój i żal za utraconą przeszłością!

Bezsilnym ruchem młoda dziewczyna opadła na krzesło, zakrywając rękami twarz łzami zalaną.

Ale szmer lekki jakiś dobiegł ją nagle. Podniosła głowę, niechcąc być zaskoczoną w tej postawie pełnej przygnębienia i rozpaczy. Ale kiedy zamglony, niespokojny wzrok skierowała ku drzwiom, stłumiony okrzyk zamarł w jej piersiach. Cyryl Morgan szedł ku niej z wyciągniętemi ramionami, uśmiechając się radośnie.

— Beatryczo! — zawołał wzruszonym głosem.

I młoda dziewczyna bez wahania, jednym skokiem, znalazła się przy nim, tuląc się drżąca cała do jego szerokiej piersi.

— Cyrylu — szepnęła przerywanym głosem — To ty! To naprawdę ty! Czy ja śnię, mój Boże! Więc przebaczyłeś mi! Nie pogardziłeś mną najdroższy?

— Przychodzę do ciebie, Beatryczo, aby cię już nigdy nie opuścić. — odparł poważnie młody człowiek — Złe chwile minęły bezpowrotnie, teraz rozpocznie się dla nas nowe radosne życie.

KONIEC

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

I.

Dwa morderstwa.

Było to na wiosnę 1909 roku. Marcin Courtin, pasterz bydła Piotra Lozain, opuścił właśnie z trzodą swoją zabudowania, gdzie przepędził zimę i pędził je z gór ku folwarkowi mieszczącemu się w najwęższej kotlinie lasu. Towarzyszyły mu dwa duże psy owczarskie.

Folwark ten był własnością Piotra Lozain, który zamieszkiwał go z żoną, córką, parobkiem do posług i służącą.

Marcin Courtin corocznie z wiosną powracał tą samą drogą. Kiedy wchodził z trzodą swoją do ujścia kotliny, psy jego zazwyczaj okazywały wielką radość, biegały wokoło niego w szalonych podskokach, zagłuszając donośnem szczekaniem ciszę, zalegającą las cały.

Tym razem jednak pasterz zauważył, że zachowywały się w nienaturalny i dziwny sposób. Szły obok trzody powoli, trzymając łby spuszczone ku ziemi, węsząc ziemię, wydając niekiedy krótkie, urywane wycia.

— No, cóż tam Mars? — zawołał Marcin Courtin, patrząc niespokojnie na ulubieńca swojego, dużego, silnego psa o świecących, roztropnych oczach. — Cóż się wam dziś stało znowu! Żwawo! Dom niedaleko!

Pies spojrzał smutnym wzrokiem na swojego pana, podniósł łeb do góry i zawył przeciągle.

Lekkie drżenie przebiegło pasterza. Znał dobrze swoich wiernych towarzyszów i przeczuwał, że zachowanie się ich niezwykłe musi mieć jakąś przyczynę.

Przystanął na chwilę i zaczął nadsłuchiwać w stronę folwarku, myśląc, że dobiegnie go szczekanie psa podwórzowego.

Ale las stał cichy, spokojny. Żaden odgłos, żaden hałas nie mącił głębokiej ciszy. Gdzieniegdzie tylko z lekkim szumem skrzydeł zerwał się ptak spłoszony, lub gałąź zeschnięta z suchym trzaskiem opadła na ziemię.

Lęk nagle ogarnął pasterza.

— Psy wyją na śmierć! — szepnął, żegnając się nabożnie — Cóż się tam stać mogło na folwarku?

Wyjął z za pasa róg i wydobył z niego dwa donośne, przejmujące tony, które rozległy się po lesie, jak rozpaczliwe wołania. Dźwięki te, przebiegając doliny i góry, rozbiegły się w tysiącznych echach, odbijane od skał granitowych, by dalej jeszcze popłynąć, ale, żaden głos podobny nie odpowiedział mu od strony folwarku.

Cisza ta uparta wzmogła jeszcze przestrach pasterza.

Jeżeli z folwarku nikt nie odpowiedział na jego wołanie, to musiało się tam stać coś niedobrego, jakieś nieszczęście spotkało zapewne Piotra Lozain i jego rodzinę.

Marcin Courtin odważny był i dzielny. Gwizdnął na psy, zgarnął trzodę swoją i przynaglił do szybszego biegu. Wkrótce opuścił skalisty, wązki wąwóz i doszedł do zabudowań folwarcznych.

Trzoda, poznawszy znajomą zagrodę, rozbiegła się po dziedzińcu, którego wrota były szeroko otwarte. Kilka krów dobiegło do wejścia stajni, której drzwi zdawały się być silnie wypchnięte uderzeniem, pochodzącem z wewnątrz. Ale stanęły nagle wylęknione, wydając żałosne ryki i cofając się oszalałe, zbiły się w gromadę.

Marcin Courtin podbiegł ku nim i spostrzegł z przerażeniem, że na ziemi, na której się rysowały dobrze mu znane ślady, rozciągały się duże kałuże skrzepłej krwi.

— Wilki tu były, — szepnął, dygotając z przestrachu.

Wszedł jednym skokiem do stajni i cofnął się zdumiony. Pod nogami jego, na ubitej ziemi, wznosił się stos kości! Z pozostałych dwóch krów i konia, dla użytku rodziny Lozain, widniały tylko szkielety, ogryzione ze skóry i mięsa.

Pasterz zamyślił się głęboko.

Wiedział, że lesista i mało zamieszkana okolica nawiedzana była często, zimową porą, stadami zgłodniałych wilków, wychodzących z gąszczy lasów na żer — ale broniono się przed nimi zawzięcie i jeszcze nie zaszedł wypadek, aby się wcisnęły do zagrody. Zuchwałość ich tym razem musiała być oparta na jakiejś przyczynie. Czyżby Piotr Lozain opuścił folwark, zabierając ze sobą psy i służbę? Ale dlaczegóż w takim razie pozostawił w stajni bydło i porzucił na pastwę zgłodniałych wilków? Jakaż przyczyna mogła zmusić gospodarza do opuszczenia folwarku?

— Może nie żyje? — przebiegła mu myśl przez głowę — Ale w takim razie nie żyją wszyscy!

Przypuszczenie to straszne uderzyło go jakby obuchem. Odpędził tę myśl jako niedorzeczną. Lozain był w sile wieku, żona jego była trzydziestoletnią zdrową kobietą. Parobek Ludwik, choć stary, odporny był jeszcze i rześki! Cóż się z nimi wszystkimi stać mogło? Epidemie żadne nie nawiedzały tego górzystego zakątka, gdzie powietrze czyste było jak kryształ!

Podejrzenie o zbrodni nie nasunęło się mu nawet. Zbrodnia w tej okolicy, tego nie było jeszcze! Chyba podróż? Tak! Zapewne podróż jakaś nieoczekiwana i nagła! Ludwik zaś może wydalił się, w nieobecności gospodarza, z folwarku i po powrocie ujrzawszy nieszczęście, zląkł się odpowiedzialności i uciekł!

Marcin drżący i niepewny wyszedł ze stajni, stanął na środku dziedzińca i zawołał zmienionym głosem:

— Hej, gospodarzu! Panie Lozain!

Na to wołanie wzmogło się żałosne wycie psów. Stanęły za nim z ogonami spuszczonymi wpatrzone w domek zamieszkany przez całą rodzinę.

Grube krople potu ukazały się na pobladłem czole pasterza. Zebrał całą odwagę, podszedł do drzwi domu i zapukał silnie. Nie odebrał żadnej odpowiedzi!

Wówczas usiłował drzwi otworzyć, ale prędko spostrzegł, że były od wewnętrznej strony zamknięte.

Zagroda tworzyła półkole, którego druga część zamknięta była wejściem do wąwozu. Po lewej i prawej stronie wznosiły się zabudowania gospodarskie, stajnie, stodoły i wozownie.

Dom wystawiony z cegieł znajdował się w głębi, strzeżony był wysokim, gęstym żywopłotem o kolczastych ramionach, przez który przecisnąć się nie było można.

Dom nie był duży i składał się tylko z kilku pokojów parterowych i strychu. Okna wznosiły się na dwa metry od podmurowania. Trzeba było więc posłużyć się drabiną lub wysoką ławką, aby módz zajrzeć przez nie do środka.

Po krótkim namyśle Marcin Courtin przytoczył próżną beczkę, stojącą opodal, pod okno znajdujące się najbliżej drzwi wchodowych i zagłębił odważnie wzrok do pokoju.

Ale widok, który ujrzał był tak straszny i przejmujący, że twarz jego nagle pokryła się śmiertelną bladością. Zaczął się bezwładnie chwiać na nogach i po chwili bezprzytomny prawie potoczył się wraz z beczką na ziemię. Równocześnie psy śledzące każdy ruch jego rozpoczęły wyć żałośnie, biegając niespokojnie wokoło zamkniętego domu.

W kilka godzin później Marcin Courtin znajdował się w miasteczku Vouziers, w gabinecie prokuratora sądu.

Prokurator, pan Dupont, siedział przed biurkiem wpatrzony uważnie w pasterza stojącego przed nim, wspartego na grubej lasce, z którą nie rozłączał się nigdy.

Prokurator miał twarz skupioną i surową. Słuchał opowiadania pasterza, zwracając się niekiedy do pisarza siedzącego przed stolikiem pod oknem i notującego tragiczne zeznanie.

Marcin Courtin był tak wzruszony i przybity, że pan Dupont zmuszony był kilkakrotnie przerwać badanie, aby mu pozwolić odzyskać przytomność umysłu.

Podczas jednej takiej przerwy prokurator napisał parę listów i zadzwonił następnie na woźnego.

— Te listy — rzekł do niego — mają być natychmiast zaniesione według adresów. Ty zaś przejdź do żandarmeryi i powiedz kapitanowi, aby za godzinę najdalej znajdował się po drugiej stronie rzeki, na drodze prowadzącej do Bosaney. Równocześnie pobiegniesz do hotelu „pod Złotym Lwem“ i powiesz, że potrzebuję powozu na cztery osoby. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, panie prokuratorze — odpowiedział woźny i wyszedł spiesznie z pokoju.

Prokurator zwrócił się teraz do pasterza.

— Czy jesteś w stanie, mój przyjacielu, dokończyć swoje opowiadanie? — zapytał.

— Tak, panie prokuratorze.

— Mów więc dalej. Mówiłeś, że zajrzawszy przez okno uderzony zostałeś tak przykrym widokiem, że upadłeś zemdlony na ziemię?

— Tak jest.

— Cóż było dalej?

Marcin Courtin przesunął ręką po oczach, jakgdyby chciał odpędzić widzenie dręczace go uparcie i wyrzekł:

— Nie wiem jak długo trwać mogło moje omdlenie. Pamiętam tylko, że powróciłem do przytomności pod pieszczotami moich psów, które lizały mi twarz i ręce. Bydło zgromadzone na dziedzińcu charczało ze strachem i biło kopytami o ziemię. Chociaż byłem ciągle jeszcze pod wrażeniem przestrachu, graniczącego z obłędem, chciałem raz jeszcze wyjść na beczkę i spojrzeć przez okno, aby się przekonać, czy nie byłem ofiarą jakiejś czarodziejskiej sztuczki, ale kiedy powstałem, resztka odwagi, jaką zachowałem, odbiegła mnie zupełnie. Nie wiedząc prawie co robię, zapędziłem trzodę do innych stajen i zamknąłem wrota. Poczem opuściłem folwark założywszy furtkę od ogrodzenia. Psy moje chciały pobiegnąć za mną, ale pogroziłem im laską i poszły położyć się pod stajnię. Wtedy wpadłem w wąwóz i biegłem jak szalony, potykając się o kamienie i drzewa, aż dobiegłem do głównej drogi.

— O której godzinie mniej więcej, zapędziłeś trzodę na folwark?

— Około dziewiątej rano.

— Godzina ta jest bardzo ważna. Czy jesteś pewny, że się nie mylisz?

— Zdaje mi się, że nie, panie prokuratorze. Kieruję się zawsze według słońca.

— Czy nie masz już nic więcej do zeznania?

— Nic więcej.

— Umiesz się podpisać?

— Tak, panie prokuratorze, umiem czytać i pisać.

Pan Dupont zwrócił się wówczas do pisarza:

— Proszę przeczytać głośno to zeznanie.

Pisarz wykonał rozkaz i Marcin Courtin podpisał się na końcu aktu.

— A teraz — wyrzekł prokurator — udamy się na folwark i ty nam towarzyszyć będziesz.

— Jestem gotów. — odpowiedział spiesznie pasterz.

Pan Dupont opuścił więc swój gabinet wraz z pisarzem i Marcinem Courtin i wkrótce potem przybyli do drogi prowadzącej do Bosaney. Gdzie już czekał na nich zamówiony powóz. O kilka kroków od powozu lekarz miejscowy zawezwany przez prokuratora, rozmawiał z kapitanem od żandarmeryi, który przybył w asyście pomocnika i policyanta.

— W którą stronę udajemy się, panie prokuratorze? — zapytał kapitan, witając się z panem Dupont.

— Niech pan podąży na koniu za nami — odparł zapytany — a my panowie wsiadajmy. Ty Courtin, na kozioł obok stangreta. Wskażesz mu drogę.

Była godzina druga popołudniu.

Zły stan dróg i bystrość wzgórz, jakie przebywali, nie pozwalały na bieg przyspieszony.

Kiedy dojechano do wąwozu prowadzącego na folwark Piotra Lozain, musiano zatrzymać konie. Wąska, kamienista droga, była tak utrudniona, że powóz tędy przejść nie mógł.

— Dojdziemy dalej pieszo — zawyrokował prokurator wysiadając — Powóz zaczeka na nas.

Wszyscy wysiedli i poprzedzeni przez Marcina Courtin przedostali się przez wąwóz, aż do zagrody.

Cisza panowała tu zupełna, tylko psy, poczuwszy zbliżenie się obcych, zerwały się szczekając donośnie, biegnąc na spotkanie przybywających.

— Cicho! Mars! — rozkazał pasterz.

Na głos ten psy posłusznie zawróciły pod stajnię.

Prokurator jeszcze przed wejściem do zagrody rozpoczął badanie miejscowości.

— Zanim przejdziemy przez tę furtkę — rzekł do Marcina Courtin — objaśnij nas w jakim stanie zastałeś to ogrodzenie, kiedy przybyłeś tu dzisiaj rano?

— Wrota były zupełnie otwarte, panie prokuratorze. — odpowiedział pasterz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Leo Ślezak.

Kraków usłyszy niebawem śpiewaka o rozgłośnej sławie światowej, Slezaka, artystę c. k. nadwornej opery w Wiedniu i Budapeszcie. Jego dramatyczne kreacye na scenie w operach Wagnera i najsławniejszych operach włoskich, jego występy na estradzie koncertowej są zawsze siłą magnetyczną, ściągającą tłumy słuchaczów. Slezak należy do tych wyjątkowych śpiewaków, którzy porywają zarówno jako wykonawcy dramatycznych ról, jak i jako interpre-



Leo Ślezak.

tatorzy pieśni. Jego bohaterski tenor, jaśniejący w całym blasku na scenie, umie w pieśni czarować miękkością i liryzmem uczucia, umie wydobyć całą głębię treści nastrojowej, zawartej w pieśni.

Jedyny koncert Slezaka w Krakowie, urządzony przez „Krakowskie Biuro Koncertowe", odbędzie się we wtorek, dnia 19. bm. w sali „Sokoła" o godzinie ósmej wieczorem. W olbrzymim programie są pieśni Schuberta, Schumanna, Brahmsa, Liszta, Ryszarda Straussa oraz arye z najgłośniejszych oper, jak: „Aida", „Afrykanka" i „Lohengrin".

Znakomitemu artyście towarzyszy prof. Oskar Dachs, który wystąpi również jako solista i odegra Schuberta „Impromptu" i Liszta „Etude".

Z tygodnia.

Odpowiedź państw centralnych na żądania Rady Stanu.

Jak donoszą pisma z Warszawy, w dniu 8. czerwca, na plenarnem posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu, komisarze mocarstw centralnych — hr. Lerchenfeld po niemiecku a br. Konopka po polsku — złożyli następujące oświadczenie:

„1) Życzenie ustanowienia Regenta dla Państwa Polskiego, wyrażone w uchwale Rady Stanu z dnia 1. maja 1917 r., odpowiada w zupełności zamiarom mocarstw centralnych i ma być urzeczywistnione, skoro tylko wytworzone będą warunki pomyślnej działalności Regenta.

2) Mocarstwa centralne uznają już obecnie Tymczasową Radę Stanu za przedstawiciela tworzącego się Państwa Polskiego i oczekują, że Rada Stanu w możliwie najkrótszym czasie ukończy swe prace przygotowawcze dla konstytucyjnej i administracyjnej organizacyi Królestwa Polskiego.

3) Mocarstwa centralne zwracają się zarazem do Rady Stanu z wezwaniem, by wypracowała i przed łożyła im szczegółowe wnioski co do kwestyi, w jaki sposób bez naruszenia stanowiska, przysługującego mocarstwom okupacyjnym w myśl prawa międzynarodowego, ma nastąpić oddanie poszczególnych gałęzi administracyi polskim władzom centralnym (ministerstwom), oraz w jaki sposób mają być pokryte koszta tych gałęzi administracyi.

Temi gałęziami administracyi są prócz sądownictwa i szkolnictwa, sprawy wyznań, opieka nad nauką i sztuką, dalej z dziedziny gospodarstwa społecznego: handel i rolnictwo, z ograniczeniami, jakie ze względów wojenno gospodarczych jeszcze bliżej się oznaczy, organizacya rzemiosł, usunięcie szkód wojennych i odbudowa kraju; wreszcie dobroczynność publiczna i opieka społeczna.

Dalej oczekują mocarstwa centralne przedstawienia przez Radę Stanu osobistości, której — aż do chwili ustanowienia Regenta — ma być poruczone naczelne kierownictwo oddanych Państwu Polskiemu gałęzi administracyi; rządy przypuszczają, że przedewszystkiem będzie wzięte pod rozwagę desygnowanie na to stanowisko przewodniczącego Tymczasowej Rady Stanu, Marszałka Koronnego."

Po tem oświadczeniu przedstawicieli państw centralnych — członkowie Rady Stanu stawiali szereg zapytań pod adresem komisarzy.

Ograniczenie aparatu zaciągowego do wojska polskiego.

W dniu 4 czerwca generał-gubernatorstwo warszawskie wydało rozkaz, mocą którego aparat zaciągowy do wojska polskiego, zorganizowany w ciągu zimy w całym kraju, został *ad minimum* sprowadzony. Generał gubernatorstwo oświadcza w tym rozkazie, że „ze względu na zbliżające się żniwa, dla zebrania których należy pozostawić do dyspozycyi kraju wszystkie siły, jakiemi on rozporządza, nie należy zarządzać w najbliższych tygodniach dalszego wcielania ochotników do wojska polskiego". Zostają więc zwinięte wszystkie powiatowe urzędy zaciągu i wszystkie biura zgłoszeń. Pozostają natomiast główne urzędy zaciągu (w liczbie 17) i krajowy inspektorat w Warszawie. Zgłoszenia do wojska mają się w miastach powiatowych i miasteczkach, jakoteż wsiach, dokonywać w formie zapisywań u „kreisschefów". Oficerowie i żołnierze, którzy byli zatrudnieni w powiatowych urzędach i w wiejskich przeważnie biurach zgłoszeń, mają wrócić do pułków i do obozów ćwiczeń; pozostaje jedynie uszczuplony personal inspektoratu warszawskiego i 17 głównych urzędów w miastach gubernialnych.

Język niemiecki w szkołach początkowych Królestwa Polskiego.

Na posiedzeniu Rady miasta Kielc w dniu 26. maja uchwalono wysłać do generał-gubernatora hr. Szeptyckiego, następujący telegram w sprawie nauki języka niemieckiego w szkołach początkowych:

„Rada miejska na posiedzeniu dnia 19. lutego, uważając, że nauka języka niemieckiego w szkołach ludowych jest dla dzieci, które do tych szkół uczęszczają, zupełnie zbyteczną, powtóre nie pozwala położyć odpowiedniego nacisku na naukę języka i historyi ojczystej, wreszcie sprzeciwia się obecnym dążeniom narodu polskiego, zwróciła się do generał-gubernatorstwa w Lublinie za pośrednictwem tutejszej komendy powiatowej z prośbą o zniesienie nauki języka niemieckiego w tych szkołach ludowych, w których w roku ubiegłym władza okupacyjna ją zaprowadziła. Ponieważ na prośbę tę, wysłaną dnia 21. lutego, Rada miejska nie otrzymała żadnej odpowiedzi, natomiast zaś wprowadzono do szkół początkowych i śpiewy w języku niemieckim, magistrat miasta Kielc, spełniając uchwałę Rady miejskiej z dnia 26. maja, zwraca się z prośbą do waszej ekscellencyi o usunięcie ze szkółek początkowych języka niemieckiego i śpiewów niemieckich".

Armia polska we Francyi.

„Frankfurter Zeitung" donosi z Bazylei:

Dekret prezydenta republiki francuskiej — jak donosi paryska agencya Havasa — zarządził utworzenie armii polskiej pod naczelną komendą francuską. Wszyscy Polacy mogą zgłosić się do służby w tej armii na czas wojny.

W sprawozdaniu, dołączonem do dekretu, powiedzianem jest pomiędzy innemi: „Rządy państw koalicyjnych, a zwłaszcza Rosyi, nie mogą w lepszy sposób okazać swojej woli do wskrzeszenia Polski, jak przez danie Polakom sposobności do walczenia pod własnemi chorągwiami".

Dwie armie polskie w Ameryce.

„Dziennik Narodowy" w numerze 127 donosi: „Dochodzą nas wieści z Ameryki, iż tworzą się tam równocześnie dwie armie polskie! Jedna ma być utworzona z inicyatywy Paderewskiego, a na skutek zjazdu Związku Sokołów polskich w Pittsburgu, w liczbie 100 000 ludzi i ma nosić nazwę „Kościuszko's Army". Armia ta ma być jednostką bojową amerykańską, utworzoną z funduszów polskich, przeznaczonych pierwotnie na inne cele, a jak mówi uchwała, „idzie w bój wzniosły za wolność i sprawiedliwość dla wszystkich narodów", oczywiście na froncie francuskim. Oprócz tego Zarząd wojsk polskich wystąpił z odezwą, ofiarowując Ameryce również 100.000 ludzi."

Ostatni ukaz b. ministra wojny Guczkowa.

„Echo Polskie" (Moskwa) z 15 maja, pisze:

Jednym z ostatnich czynów ustępującego ministra wojny, Aleksandra Guczkowa, było utworzenie w głównym sztabie generalnym departamentu dla sprawy utworzenia armii polskiej. Uczynił to Guczkow prawdopodobnie na własną rękę. Nie słyszeliśmy nic o naradach z przedstawicielami społeczeństwa polskiego, któreby to postanowienie uprzedziły. I zignorował przy tem Guczkow zupełnie głos polskiej opinii demokratycznej, która przecież wobec prywatnej akcyi grona ludzi w sprawie armii polskiej wypowiedziała się zasadniczo przeciw.

Partye polityczne w Królestwie.

Warszawska „Nowa Gazeta" taki podaje przejrzysty obraz obecnego ugrupowania stronnictw politycznych w Królestwie Polskiem:

I Koło międzypartyjne: Realiści, Narodowi Demokraci, Zjednoczenie Narodowe, Polska Partya Postępowa (P. P. P). Związek niezależności gospodarczej, Chrześcijańska demokracya, Bezpartyjni.

II. Centrum Narodowe: Liga Państwowości Polskiej, Demokracya Polska (połączenie dawnej Konfederacyi z Klubem Mieszczańskim), Zjednoczenie Ludowe, Bezpartyjni.

III. Rada Narodowa: 1) Centralny Komitet Narodowy (C. K. N.): Partya Niezawisłości Narodowej, Polskie Stronnictwo Ludowe, Bezpartyjni. 2) Zjednoczenie Stronnictw Demokratycznych. (Połączenie: Radykałów Narodowych, Zjednoczenia Postępowego i Stronnictwa Pracy Narodowej). 3) Stronnictwo Narodowe. 4) Narodowy Związek Robotniczy (N. Z. R.). 5) Bezpartyjni.

Odrębnie stoi:

IV. Klub Państwowców Polskich z p. Studnickim.

Wreszcie samodzielne stanowiska zajmują socyaliści trzech kierunków: Polska Partya Socyalistyczna — prawicowa, frakcya (do niedawna należąca do C. K. N., obecnie pozostająca z nim tylko w porozumieniu od wypadku do wypadku); Polska Partya Socyalistyczna — lewica (pozostająca w kontakcie z Bundem żydowskim); Socyalna Demokracya Królestwa Polskiego i Litwy (do niedawna dzieląca się na zarządców i rozłamowców).

Kronika tygodniowa.

Niema złego, aby na dobre nie wyszło!... Tak mawiali nasi ojcowie i mieli racyę, jak się dziś sam o tem na samym sobie przekonuję. W zakończeniu poprzedniej kroniki zamieściłem wzmiankę o operze, której Kraków nie posiada dotąd i zaznaczyłem, że jakoś się przecież bez niej obchodzimy. To ściągnęło na mnie moc gromów ze strony jakiegoś anonima, który nawymyślał mi od zacofańców, zapleśniałych grzybów i innych tego rodzaju nie nadających się do użytku artykułów spożywczych, zastrzegając się, że mogę pisać, co mi się podoba, a operę musimy mieć i to już w najbliższym czasie i do tego prowadzoną we własnym zarządzie gminy. Doświadczenie nauczyło, iż jest on zupełnie odpowiednim, nie potrzeba więc oglądać się na dzierżawcami i potem słuchać ich narzekań, że nie mogą związać końca z końcem, wobec czego potrzebują subwencyi. We własnym zarządzie obejdzie się bez jakichś tam subwencyi, pozostanie może, co najwyżej, deficyt, a ten można pokryć łatwo z nadzwyczajnych funduszów dyspozycyjnych, które zawsze się znajdą w tak bogatym grodzie, jak rozszerzony Kraków.

List przeczytałem i schowałem go do kosza, skąd w swym czasie powędruje do pieca, ale też równocześnie przyszło mi na myśl wyżej zacytowane przysłowie, nie ulega bowiem kwestyi, iż byłbym narażony i na drugą porcyę besztania, gdyby pan metrampaż, znowu „z powodu braku miejsca", nie był obciął końca poprzedniej kroniki, który brzmiał, jak następuje:

„Tak samo zdawało się nam przed laty, że koniecznie musimy mieć wyścigi, bo cóż warte wielkie miasto bez nich. Tymczasem ich niema, a przecież żyjemy, a w ostatnich latach istnienia urządzano je, ot, tak sobie „na obraz i podobieństwo", byle tylko dociągnąć do końca terminu dzierżawnego wyścigowego toru.

Nie wątpię, iż niejeden Krakowianin, bawiąc za granicą, byłby zadowolony, gdyby mógł powiedzieć: „My mamy operę i wyścigi!..." Ale również jestem mocno przekonany, że braku ich nikt nam za złe nie weźmie, chyba człek, który pod czaszką, zamiast mózgu, nosi jakiś małowartościowy surogat, ale znowu na zdaniu takich osobników nie powinno nam tak bardzo zależeć.

Po wojnie znajdzie się czas i sposobność na wszystko. Wówczas będą może i pieniądze, których dziś brak..."

Zwolennicy sportu z pewnością byliby się na mnie o to pogniewali, jeśli tego zaś dotąd nie uczynili, kto wie, czy nie wyrażą mi w przyszłym tygodniu *votum* nieufności, podobnie, jak to uczynił ów anonim w imieniu krakowskich melomanów.

Ba, ale na tem jeszcze nie koniec! Inny znów jegomość, czy też jejmość, bo płci z charakteru pisma ani rusz odgadnąć nie mogę, oburza się na mnie, iż zbyt wiele miejsca i czasu poświęcam sprawom aprowizacyjnym, dotyczącym miasta Krakowa, zamiast omawiać częściej i dokładniej ogólną, głębszą politykę. Pan ów, czy też pani, nie ma jednak racyi, narzekając z tego powodu na mnie, gdyż chyba każdy mi przyzna, że dziś aprowizacya to grunt i, że chcąc żyć, trzeba jeść, a chcąc jeść, trzeba mieć coś do jedzenia.

Tego samego, co i ja, zdania jest widocznie jegomość, który w numerze 156. *Illustrowanego Kuryera Codziennego* zamieścił ogłoszenie tej treści:

„Intelligentny, starszy kawaler, na rządowem stanowisku, pragnie poznać pannę lub wdowę przystojną, intelligentną, w celu matrymonialnym. Pierwszeństwo mają restauratorki lub córki tychże. Fotografia pożądana. Anonimy do kosza..."

Myślę więc, że ów „starszy kawaler" zrobił wybór bardzo trafny, szukając na te ciężkie czasy dozgonnej towarzyszki życia w sferach jadłodawczyń, gdyż taka jejmość nie pozwoli chyba swemu małżonkowi zginąć z głodu. Należało jednak, ot, z prostej przezorności, zażądać obok fotografii i „spisu potraw" z odnośnej restauracyi, przynajmniej za tydzień cały, by się przekonać, jakiego rodzaju podają tam „papu". Łatwo bowiem „wdepnąć" i popełnić mezalians, zwłaszcza, iż tutaj głównie żołądek, a nie serce w grę wchodzi, a na tym punkcie trzeba być bardzo ostrożnym. Dziś, gdy żywimy się samymi surogatami, tak łatwo nabawić się n. p. kataru żołądkowego, a tak trudno się go potem pozbyć!... Nie tylko zwykła kuchnia posługuje się obecnie surogatami różnego rodzaju, obfituje w nie, niestety, także i łacińska, czyli apteka, wykazująca w spisie leków coraz więcej tak zwanych „wojennych środków leczniczych".

O aprowizacyi, choćby nawet gniewał się na mnie ten i ów z pośród P. T. Czytelników, nieraz jeszcze napiszę, kto wie, czy nie poruszę tego tematu i w tej jeszcze kronice, o ile naturalnie miejsca starczy, gdyż przedewszystkiem postanowiłem omówić bardzo ważną kwestyę politycznej natury, mającą nawet związek z owym końcem wojny, którego w żaden sposób doczekać się nie możemy.

Gdyby poszczególne części kroniki miały specyalne tytuły, rozdział niniejszy powinienby nosić nagłówek: „Koty ratują budżet angielski".

Wiemy z historyi, iż gęsi swojego czasu uratowały Kapitol przed inwazyą nieprzyjaciół, koty natomiast podobnie zaszczytnej karty w dziejach świata dotąd sobie zdobyć nie potrafiły, nie dlatego bynajmniej, by były może mniej intelligentne od przedstawicielek gęsiego rodu, ale, ponieważ nie znalazły do tego sposobności.

Teraz im się dopiero nadarza, co zapewne z radością przyjmą do łaskawej wiadomości zwłaszcza stare panny, przyjaciółki serdeczne różnych Maciusiów i Mruczusiów.

Kanclerz skarbu w Anglii, pan Bonar Law, przedłożył odpowiednim czynnikom czwarty budżet wojenny, przewidujący w wydatkach około dwa i pół miliarda funtów szterlingów, przy dochodach, przenoszących o niewiele zaledwie pół miliarda. Należałoby zatem wprowadzić nowe podatki, jako nowe źródło pokrycia olbrzymiego niedoboru. Mister Bonar Law nie żąda jednak nowych podatków, nie żąda nawet podwyższenia opłaty od psów, „z wielką natomiast zmarszczką troski na czole" (słowa jednego z pism politycznych) proponuje podwyższenie podatku od kotów, których w Anglii jest wedle obliczenia urzędowego pełne i okrągłe trzy miliony.

Przyznam się, że będąc na miejscu pana Bonara Lawa, na podobny projekt nigdybym się nie ośmielił, wiedząc, z jak gwałtowną opozycyą musi on się spotkać w sferach przyjaciółek kotów, które nie zechcą zrozumieć, że w ten sposób mają ratować ojczyznę i przyczynić się do ostatecznego zwycięstwa. Pani Pankhurst proponowała podobno w swoim czasie utworzenie korpusu posiłkowego, złożonego z samych sufrażystek-amazonek i wysłanie go na front francuski, każda jednak z uczestniczek chciała ze sobą zabrać swego kota, niektóre nawet po dwa i trzy, i o ten właśnie szkopuł wszystko się rozbiło. Sufrażystki i ich koty pozostały w Anglii i to miało być przyczyną, iż nie udała się ostatnia ofenzywa francusko-angielska tak, jak zapowiadano,

Czy więc teraz uratują koty ojczyznę i przyczynią się do wyrównania niedoborów budżetowych, przewidzieć trudno, ja wogóle w to nie wierzę i radziłbym panu Bonarowi Lawowi, aby zrezygnował z zamiaru, jeśli nie chce się narazić na objawy niezadowolenia miłujących koci ród córek Albionu. Jeśli sam dotąd nie miał sposobności osobiście (a nawet może i namacalnie) przekonać się o tem, niechaj poinformuje się, u swych kolegów z ławy ministeryalnej, a dowie się jak to niebezpiecznie zadzierać w Anglii z płcią nadobną, zwłaszcza na tak drażliwym punkcie, jak koty.

Pod tym względem nie różnią się od siebie niewiasty na całej kuli ziemskiej, gdyż pamiętamy chyba, jakie wśród naszych pań oburzenie wywołało swojego czasu opublikowanie rozporządzenia, zakazującego kociemu rodowi włóczenia się samopas i grożącego opornym najsurowszemi karami. Niewiele brakowało, a bylibyśmy wówczas mieli małą babską rewolucyę, udało się ją przecież zażegnać, cofając owe, jak je pewna jejmość nazwała, *dragońskie* paragrafy. Skutek w każdym razie był, kroniki pism codziennych stwierdzają bowiem jednozgodnie, iż koci karnawał w ciągu ostatnich trzech lat był stanowczo mniej ożywiony, niż przed wojną.

Tak się stanie, czy owak, pan Bonar Law nie traci przecież fantazyi i nie niepokoi się bynajmniej o przyszłość, zwłaszcza, że skarbnik Stanów Zjednoczonych zapewnił go, iż oddaje mu do rozporządzenia skarb sprzymierzonej rzeczypospolitej amerykańskiej. Ta szlachetna pomoc uratuje zatem angielskie koty i, nie oglądając się na nic — tak przynajmniej twierdzi ów angielski mąż stanu — będzie można wojnę przeciągnąć chociażby do końca wiosny 1918 roku. Pozatem pozostaje jeszcze w rezerwie podwyższenie podatku od tytoniu, od widowisk teatralnych i od zysków wojennych.

Jednem słowem, pan Bonar Law pełen jest otuchy i spokojnie spogląda w przyszłość, zapewniając Izbę gmin, iż olbrzymi dług, jaki państwo ma, spłacony zostanie w ciągu lat czterdziestu dwu po wojnie z normalnych przychodów państwowych, nawet bez ewentualnego przyczynienia się kotów. Ponadto trzeba się cieszyć nadzieją, że w tym czasie wpłyną do kas państwowych i zwroty zaliczek, pobranych przez sprzymierzeńców, którzy solennie obiecali oddać, co wzięli, ale pod warunkiem, jeśli będą mieć z czego, bo z próżnego i Salomon nie naleje. Do próżnego prędzej, do tego nawet Salomona nie potrzeba.

Z tego widać, iż Anglicy liczą się poważnie z ewentualnością, iż wojna potrwać może jeszcze jedną zimę, chyba... jak powiada jeden mój znajomy polityk, a przytem i strategik niepośledni, gdyby się wcześniej skończyła...

W każdym razie nie należy upadać na duchu i umieć sobie wszystko tak wytłumaczyć, jak dla nas jest lepiej, czego znów bardzo piękny przykład daje nam ex-król czarnogórski Mikołaj, *recte* Nikita, przesyłając swemu włoskiemu zięciowi telegraficzne życzenia z powodu wspaniałych sukcesów, jakie odniosła jego dzielna armia w czasie dziesiątej nieudałej ofenzywy. Być jednak może, że jest to tylko przypomnienie się pamięci i kieszeni Wiktorka, w sposób wysoce delikatny i polityczny. Ja ci przesłałem życzenia, ty mi podziękuj, a chyba wiesz, w jakiej ja formie najchętniej przyjmuję podziękowania — tak myślał Nikita, wysyłając ową gratulacyjną depeszę, czy się jednak nie zawiódł, tego nie wiem. Czasem ludzie, nawet na bardzo wysokich stanowiskach, są ogromnie niedomyślni.

A Nikicie bynajmniej nie zazdroszczę. O nim można z czystem sumieniem powiedzieć, że to prawdziwa ofiara wojny. Siedząc kątem u Francuzów i to do tego na ścisłej dyecie, wspomina z tęsknotą swe ojczyste góry, swe stada baranków i prosiaczków, w szczególności zaś owe rubelki, które szeroką falą płynęły z jednej strony, gdy koronki z drugiej. A on brał, wychodząc z tego mądrego punktu zapatrywania, że głupi ten, kto nie bierze, gdy dają. Czasem nadeszły i liry, ale w skąpej ilości, gdyż zięć także cierpi na chroniczne kieszeniowe suchoty... Tymczasem wybuchła wojna, obiecano funty szterlingi, ale na tem tylko się skończyło. I funtów niema i tron dyabli wzięli!...

Dałbym konia z rzędem, że i król Nikita, zupełnie tak samo, jak i ja, poświęciłby wiele, byle tylko owa wojna już się raz skończyła, a on mógł, bodajby nawet jako emeryt, wrócić do swego Czarnogórza.

Czy się jednak spełnią jego i moje marzenia i jak rychło, tego nikt powiedzieć ani odgadnąć nie potrafi, zwłaszcza, że, jak już wyżej wspomniałem, pan Bonar Law zabił nam klina zapowiedzią czwartej kampanii zimowej, senat francuski obiecuje walkę nieubłaganą aż do ostatecznego zwycięstwa (naturalnie koalicyi) a i pan Kierenskij, przedtem usposobiony bardziej pokojowo, zostawszy ministrem wojny, zmienił „platformę" i pobrzękuje coraz groźniej mieczykiem. Jeśli zaś dodamy do tego jeszcze, że i pan Wilson nie stracił dotąd nic ze swego wojennego animuszu, to musimy przyznać, że sprawa końca wojny, a co za tem idzie i pokoju, przedstawia się bardzo smutno, a wszelkie przepowiednie względy już w łeb, albo niedługo wezmą.

Siadłszy na politycznego konika, tak się jakoś rozpędziłem, że widzę z przerażeniem, że na moją kochaną aprowizacyę braknie mi miejsca, co może się ujemnie odbić na mem zdrowiu, gdyż człek czuje się zawsze lepiej, jeśli może trochę żółci wylać bodaj na papier.

Gdybym to był otrzymał bodaj nagrodę Akademii Umiejętności z funduszu im. Jerzmanowskiego, miałbym czem łzy otrzeć, choć, prawdę powiem, byłbym się zadowolił nawet kilku tysiącami z kwoty, przeznaczonej dla głodnych. Niestety, spaliło na panewce. Załużę także, iż nie jestem posłem do parlamentu, ale nie dlatego, iż nie mam przed sobą szerszego pola do pracy obywatelskiej na wielką skalę, ale z powodu owych dyet, które spauszalowano na tysiąc koronek miesięcznie przez cały czas trwania mandatu, bez względu na to, czy Rada państwa urzęduje, czy też nie.

Jednem słowem, niepowodzenia na każdym kroku, co musi ujemnie wpłynąć na humor i fantazyę. Jeśli zaś dodamy do tego miłą perspektywę, iż w najbliższej przyszłości wojenne kuchnie dla głodnych intelligentów wydawać będą tylko jednolite obiady, złożone z jednej potrawy (zupki), to chyba nikt się nie zdziwi, że i kroniki tygodniowe nastrojone będą stale na nutę trenów Jeremiaszowych.

By do tego nie dopuścić, należy się starać, by wojna się jak najrychlej skończyła i pokój zawarto, do pracy więc w tym kierunku wzywam niniejszem wszystkich P. T. Czytelników i Czytelniczki, tym ostatnim przypominając choćby zamach Bonara Lawa na angielskie koty, bo, co dziś mnie, jutro tobie!

Nie chcąc już wracać do innego tematu, ze względu na brak miejsca, poruszę jeszcze dwie sprawy, mające w każdym razie pewien związek z polityką.

Jedną z nich jest samobójstwo byłego prezydenta rzeczypospolitej San Marino, zostającej z nami na stopie wojennej. O panu owym, który, aby zapewnić sobie spokojną starość, w małem państewku dopuścił się wielkiej defraudacyi, pisałem już swojego czasu. Obecnie jak donoszą telegramy, nie mogąc się doczekać zwycięstwa Włochów, rzucił się z okna szpitala więziennego i w ten głośny sposób zakończył swe burzliwe życie.

Druga sprawa, niemniej ważna, to przymusowe golenie bród żydom, aresztowanym w Warszawie. Dzieje się to na rozkaz władz ze względów hygienicznych, napotyka natomiast na opór ze względów rytualnych. Ostatecznie orzekły miarodajne czynniki, że pobożnego żyda nie powinno się pozbawiać brody.

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.
Ułożył M. D, poczta pol. 286

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	g
k	l	l	o
o	o	p	p
r	r	t	t

Znaczenie wyrazów: 1. Część składowa włóczni lub strzały. 2 Dopływ Dunajca. 3 Szlachetny kamień. 4. Minerał.

Równanie.
Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć po tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy wyraz, oznaczający spis, albo wykaz.

$$\frac{a}{4} + \frac{b}{4} + \frac{c}{4} = x.$$

Znaczenie wyrazów: a) Lekki wózek. b) Łacińska nazwa leku, działającego na serce. c) Owadoznawca.

Logogryf.
Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na doł, utworzy imię i nazwisko współczesnego polskiego powieściopisarza

□
– □ –
– – □ – –
– – – □ – – –
– – – □ – – –
– – □ – –
– □ –
□
□
– □ –
– – □ – –
– – – □ – – –
– – – □ – – –
– – □ – –
– □ –
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Owad. 3 Zwierzę ssące, znane na Podolu. 4. Bohater Kościuszkowski. 5. Rodzaj sikorki. 6 Drzewo liściaste. 7. Utwór poetycki. 8. Samogłoska. 9. Spółgłoska. 10. Masa, służąca do spajania. 11. Rzeka w Rosyi. 12 Inaczej nieboszczyk. 13. Oficer kozacki. 14. Inaczej posiedzenie. 15. Rzeka w Rosyi. 16. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Kocham centowe tace. Moc.

Łamigłówka.
Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

Bo—ak
Dr—zd
Wa—ka
Ef – kt
Ja – ek
An oł
Am—nt
Ma—że
Os – ba

Zadanie na rossypane litery.
Ułożył E. Składzień, Zawada

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

ą, b, e, e, e, g, i, i, j, ł, ł, m, n, o, p, r, r, s, u, u, w, z, z.

Trójkąt magiczny.
Ułożył S. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko francuskiej bohaterki.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2 Tytuł dworski. 3. Inaczej kalendarz. 4. Pływaki. 5. Miasto we Włoszech. 6. Imię żeńskie. 7. Część ręki. 8. Miara angielska. 9. Litera grecka. 10. Spółgłoska.

Szarada.
Ułożył J. S., poczta pol. 286.

Cztery litery szaradę składają,
Rosyi męża stanu nazwisko podają,
Do tego gdy znaczek przybędzie,
Miasto galicyjskie będzie!

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Nosił w śnie kani miętę, dziryt.

Bilety wizytowe.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Z liter na biletach ułożyć pięć znanych polskich przysłów:

Ś. ĆMATEPUNCKI

URON TROJA.

S. KEMWĘT.

KANTY Z PEPŁOWIN.
TRYEST.

I. TAS. WIĘCZYNKOS

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 22.

Szarada: Barkarola.

Grzebieniówka:

M	**a**	**k**	**o**	**w**	**s**	**k**	**i**	**C**	**z**	**e**	**s**	**ł**	**a**	**w**
a		l		o		o		y		k		u		i
r		e		r		r		r		s		s		ś
c		m		s		s		a		t		k		l
o		e		k		a		n		a		i		i
n		n		l		r		k		z		n		c
i		s		a		z		a		a		a		a

Zadanie do uzupełnienia: Nieszczęście nie chodzi po lesie, ale po ludziach.

Kwadrat magiczny:

G	r	a	d
r	a	n	a
a	n	a	m
d	a	m	a

Łamigłówka: Ewa, ona, miś, sen, sby, Don, iwa, osa, eta, wąs, Opa, kir, leń, lan, lis, Men

Zadanie do uzupełnienia:
1) Boi się, jak żyd święconej wody.
2) Prawda, bo drukowane.

Zadanie do przestawienia: Lepsza cnota, niżli złota.

Trójkąt magiczny:

B	**e**	**r**	**n**	**a**	**r**	**d**	**S**	**h**	**a**	**w**
e	m	i	s	a	r	y	u	s	z	
R	e	m	i	g	i	u	s	z		
n	a	r	r	a	c	y	a			
a	n	a	l	i	z	a				
R	u	d	o	l	f					
D	e	l	o	s						
S	a	w	a							
h	a	k								
a	s									
w										

Bilety wizytowe: Chiromanta. Primadonna operowa. Mistrz ceremonii Premier gabinetu. Komisarz straży skarbowej.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Łodyńska Kraków, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makówski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obrzczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, J Scheitel Stryj. F Buch Stryj, R. Książek Miejsce Piastowe, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów, M Golska Wiedeń, M. Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R Wójcik Przemyśl, Z Małecki Lwów, S. Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl, Z. Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów, E. Winter Tarnów, E Bogdalski, Koropuż.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **E. Wolański, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego